SOBOTA

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 115 24 WRZEŚNIA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

„A gdy przyjdzie zmierzch w ruinach..." – str. 3

Fot. M. Szymański

Żołędzie, kasztany, żółto-brązowe liście opadające... Czyżby koniec lata? A właśnie... Nie dalej jak dwa dni temu pożegnaliśmy je. Jeszcze tak niedawno pachniały akacje i kasztany, a teraz dorodne owoce spadają z drzew. Nie każdy ma tyle szczęścia, żeby natknąć się aż na dywan „utkany" z brązowych kuleczek oraz jeszcze groźnych kłujących miseczek. Piękna kompozycja. Szkoda niszczyć. A jednak... mimo woli sięgamy po te cuda przyrody.

WYSTAWA PRAC młodych rzemieślników

RADOM (HSI). Po raz czwarty zorganizowano tu Ogólnopolską Wystawę Prac Uczniów Rzemiosła. Wśród eksponatów są wyroby włókienniczo-odzieżowe, szkło, ceramika artystyczna i użytkowa, metaloplastyka, wyroby z drewna i skóry. Izba Rzemieślnicza z Gdańska przedstawiła interesującą kolekcję biżuterii ze srebra i bursztynu. Jest w czym wybierać. **(ap)**

Belgijskie tournee

KATOWICE (HSI). 45-osobowy chór katowickiej Szkoły Muzycznej im. Karola Szymanowskiego wrócił z dwutygodniowego tournée po Belgii. Chórzyści wystąpili w 8 miastach, ich występy zarejestrowała telewizja belgijska; nagrali też specjalną audycję dla radia. W czasie wojaży członkowie chóru zwiedzili Antwerpię, Brukselę i Burgię, byli gośćmi burmistrzów Leuven i Aalst. **(ap)**

Пионерская ПРАВДА

„Pionierska Prawda" donosi:

ZAPOWIADA SIĘ PRACOWITY ROK

KRASNOJARSK (ZSRR). Przez cały rok w Szkole nr 26 działa Pionierski Teatrzyk Kukiełkowy „Szarik". Każdy nowy spektakl oczekiwany jest przez wszystkich z wielką niecierpliwością, a szczególnie przez najmłodszych („Oktiabriata"). Założycielem teatrzyku i głównym reżyserem jest Swieta Zajcewa, uczennica klasy VI. Ona wraz z całą trupą teatralną odwiedziła podczas wakacji kilka pionierskich obozów. Teraz wszyscy pracują nad nowym programem – rok szkolny zapowiada się pracowicie.

ŻEBY INNYM BYŁO LŻEJ

KARDANACHI (ZSRR). Pionierzy ze Szkoły nr 8 od kilku lat współpracują z miejscowym kołchozem. Pracują prawie tak samo, jak i dorośli. Każdy z nich ma swój biały fartuch i gumowe buty, a wszystko po to, aby zachować absolutną czystość. Pionierzy bowiem mają pod swoją opieką młode cielaczki. Poza tym zajmują się hodowlą jedwabników. Z 200 gramów tych owadów wyhodowali i oddali państwu 600 kg kokonów prządkówki. Często pionierzy urządzają dla pracowników kołchozu koncerty życzeń, a także zawody sportowe.

DAWNIEJ WIEŚ, A DZISIAJ...

KIROWO-CZEPIECK (ZSRR). Moje miasto jest bardzo młode. Z opowiadań taty dowiedziałem się, że przed rewolucją na tym miejscu znajdowała się wieś Ust-Czepieck. Jej punktem centralnym była niewielka fabryczka zapałek i ... to wszystko. Po zwycięstwie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej odkryto ogromne złoża torfu. Wybudowano elektrownię. Wioska zaczęła się rozrastać. Żeby ludziom mieszkało się wygodnie wybudowano nowe osiedla – konieczne też były sklepy, szkoły. Teraz Kirowo-Czepieck jest nowoczesnym, pięknym miastem.

Jura Sannikow

Zapraszamy na sportową wystawę

OSIĄGNIĘCIA PODWAWELSKICH UCZNIÓW

Sportowy Kraków to nie tylko mocne drużyny „Wisły", „Wawelu", „Hutnika", „Wandy", ale również silne zespoły szkolne. Wystarczy powiedzieć, że niemal w każdym krajowym finale naszego czwórboju krakowscy lekkoatleci zajmują wysokie pozycje i zawsze są groźni dla najlepszych. Podobnie jest w innych dziedzinach sportu. Na ostatniej Spartakiadzie Młodzieży reprezentanci „Podwawelskiego Grodu" zajęli w punktacji województw V miejsce.

Niedawno, w gmachu Ministerstwa Oświaty i Wychowania (al. I Armii WP), otwarto wystawę obrazującą sportowy dorobek krakowskich uczennic i uczniów. Wystawa czynna będzie do końca września. Zapraszamy na nią mieszkańców Warszawy i przybyłych do stolicy gości. Jest co obejrzeć. **(zp)**

Fot. M. Szymański

Dziś przedstawiamy

UNIDO

Jest Organizacją Narodów Zjednoczonych do spraw Rozwoju Przemysłowego, a skrót UNIDO pochodzi od angielskiej nazwy United Nations Industrial Development Organization. Została ona powołana do życia przez Zgromadzenie Ogólne NZ w 1965 roku. Celem jej działania jest praca na rzecz rozwoju przemysłowego w świecie, ze szczególnym uwzględnieniem krajów rozwijających się, czyli Trzeciego Świata. UNIDO doradza i pomaga tym właśnie krajom w przygotowywaniu planów rozwoju przemysłowego; jej eksperci – wybitni specjaliści współpracują z rządami i instytucjami zainteresowanych krajów.

Jedną z najbardziej istotnych metod działania UNIDO jest szkolenie specjalistów – techników i inżynierów oraz przyznawanie stypendiów. Z inicjatywy UNIDO utworzono np. specjalny fundusz pomocy krajom Maghrebu (Afryka Płn.) w ich działaniu na rzecz współpracy w dziedzinie przemysłu. UNIDO postawiła sobie za cel realizację programu zakładającego zwiększenie produkcji przemysłowej państw Trzeciego Świata z 7 proc. do 25 proc. Program ten nazywany jest „Deklaracją z Limy", gdyż właśnie w tym mieście odbyła się w roku 1975 II Konferencja UNIDO, na której podjęto tę uchwałę.

Członkami UNIDO są państwa należące do ONZ. Jest ona organem Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych i działa jako samodzielna organizacja w ramach ONZ. Zarządza tą organizacją Rada Rozwoju Przemysłowego, w skład której wchodzi 45 państw wybieranych przez Zgromadzenie Ogólne NZ raz na trzy lata. Istnieje specjalny system wybierania tych państw, kryteria mianowicie są takie: 25 państw Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, 15 państw kapitalistycznych wysoko rozwiniętych gospodarczo oraz 5 socjalistycznych państw europejskich. Rada zbiera się raz na rok. Jej organem pomocniczym jest Grupa Robocza do spraw Programu i Koordynacji.

Działalność administracyjna i badawcza organizacji finansowana jest z funduszu ONZ, sumą około 10 mln dolarów rocznie. Jej siedzibą jest Wiedeń.

Powołanie UNIDO jest wielkim sukcesem państw rozwijających się nad państwami kapitalistycznymi, które były przeciwne powstaniu tej organizacji. Do 1965 r. problemami, którymi obecnie zajmuje się UNIDO, parał się niewielki Ośrodek Rozwoju Przemysłowego Departamentu Ekonomiczno-Społecznego Sekretariatu ONZ. (jk)

WSPÓŁCZESNY BOHATER LEGENDY

Daleko, nawet bardzo daleko. Warszawę i Phenian dzieli, w linii prostej ponad 7500 km. Może po części dlatego tak skromna jest nasza wiedza na temat Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Choć przyznacie sami trochę dziwnie brzmi takie usprawiedliwienie w dobie szybkiej komunikacji lotniczej, wielkiej sprawności środków masowej informacji. Ale fakt jest faktem, wiemy o tym kraju niewiele – trochę obiegowych, stereotypowych opinii. Zbyt rzadko na górzysty Półwysep Koreański sąsiadujący z trzema potęgami współczesnego świata – ZSRR, Chinami i Japonią, zaglądają polscy dziennikarze, filmowe ekipy telewizyjne.

Niepowtarzalnych wrażeń dostarcza już pierwszy kontakt z KRL-D. Z okienek samolotu roztacza się urzekający widok: zielone gęsto porośnięte lasem góry, gdzieniegdzie pocięte tarasami pól, schodzą wprost do morza tworząc, jedyną w swoim rodzaju, koronkową linię brzegu. Przez tysiące lat wzgórza te były schronieniem dla bojowników o wolność Korei. Burzliwa bowiem była historia tego kraju, niemal w każdym stuleciu jego mieszkańcy musieli walczyć o narodową niezależność. Dzoson – czyli „świeżość poranku", bo tak nazywają Koreańczycy swoją ojczyznę – usiłowali podporządkować sobie Chińczycy, Japończycy, Mongołowie, atakowały go wyprawy ekspedycyjne XIX-wiecznych imperiów kolonialnych. Ale dopiero na początku naszego stulecia brutalna akcja Japończyków złamała opór Korei. Przez 36 lat nad półwyspem powiewała flaga cesarstwa wschodzącego słońca. Panowanie japońskie zakończyła dopiero II wojna światowa.

Pełne wojen i konfliktów były dzieje Korei, a jednocześnie przyniosły one wspaniałe osiągnięcia kulturalne, niezwykły w niektórych okresach rozkwit nauki i techniki. Zetknięcie z tym dorobkiem zmusza Europejczyka do przewartościowania podstawowych wiadomości historycznych. Taką niespodzianką jest np. informacja o rozkwicie w Korei sztuki drukarskiej już w ... XIII wieku. Tak, właśnie tak – w roku 1234, a więc dwieście lat przed wynalazkiem Gutenberga, w ówczesnym państwie Korio wydany został 50-tomowy Kodeks Praw wydrukowany przy pomocy metalowych czcionek. Zdumienie współczesnych badaczy budzi też, pochodząca z tego samego okresu, porcelana o niezwykłym zielonkawo-niebieskim odcieniu i kunsztownych zdobieniach.

Zjednoczyć kraj – cel nr 1

Kapitulacja Japonii przyniosła wolność Korei, oznaczała zwycięskie zakończenie walki partyzanckiej jaką od początku lat 30-tych prowadziła Koreańska Armia Ludowo-Rewolucyjna, której organizatorem i dowódcą był obecny prezydent KRL-D – Kim Ir Sen.

Ale Koreańczycy niedługo cieszyli się pokojem. 25 czerwca 1950 roku wybuchła nowa wojna. Armia USA i kilku innych państw rozpoczęły pod flagą ONZ interwencję w północnej części półwyspu. Aby wyjaśnić powód agresji trzeba cofnąć się do okresów bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej.

W myśl porozumień alianckich północna część Korei zajęta została przez wojska radzieckie, południowa, do 38 równoleżnika znalazła się we władaniu armii amerykańskiej. Siły zbrojne obu krajów miały pomóc w szybkim przeprowadzeniu demokratycznych reform, stworzeniu władzy państwowej. Na południu wojska USA rozpoczęły jednak likwidację powstających komitetów ludowych, ułatwiały dojście do władzy podporządkowanym sobie politykom. Przypieczętowaniem takiego działania było powołanie w sierpniu 1948 roku rządu Li-Syn-Mana i proklamowanie Republiki Korei. W odpowiedzi kilka tygodni później w północnej części Korei, gdzie bardzo zaawansowany był proces tworzenia władzy ludowej powstała Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna. Jednolity do tej pory kraj podzielony został na dwa odrębne państwa o zupełnie odmiennych zasadach ustrojowych. Amerykański atak w czerwcu 1950 roku był konsekwencją podziału; celem działań interwencyjnych było zlikwidowanie KRL-D.

Wojna spustoszyła kraj, spowodowała ciężkie ofiary w ludziach. Na północy zniszczonych zostało ponad 8 tysięcy fabryk, 600 tys. domów mieszkalnych, zginęło prawie milion ludzi. O tych zniszczeniach pamięta się do dziś, mówi się o nich odwiedzającym północ dziennikarzom, aby zilustrować jak wielki był wysiłek narodu dźwigającego kraj z ruin, rozbudowującego gospodarkę. Straty wojenne spowodowały bowiem niezwykle trudny start KRL-D do samodzielnego istnienia. Tym trudniejszy, że podział kraju rozerwał gospodarkę, sprawił, że w wielu dziedzinach na północy musiano zaczynać od zera. Np. w rolnictwie – już u progu swojego istnienia KRL-D stanęła w obliczu wielkiego niedoboru żywności. Na północy rolnictwo było słabo rozwinięte, skromna była produkcja ryżu i innych zbóż. Od dawien dawna bowiem spichlerzem kraju było południe.

Dla rządu KRL-D zjednoczenie kraju stanowiło zawsze problem najważniejszy, który można rozwiązać wyłącznie drogą pokojowych negocjacji. Początek lat 70-tych przyniósł nadzieje na takie właśnie załatwienie tej kwestii. Nawiązano rozmowy między przedstawicielami organizacji Czerwonego Krzyża z północy i południa; w lipcu 1972 r. w Phenianie i Seulu ogłoszono Wspólne Oświadczenie Północy i Południa, w którym obie strony wyraziły gotowość do zjednoczenia kraju. Przedstawiciele KRL-D przedstawili projekt konfederacji obu części kraju, pod starą historyczną nazwą Korio. Propozycje te zostały odrzucone przez delegację południa. Rozmowy utknęły w martwym punkcie. Zjednoczenie Korei jest więc nadal sprawą przyszłości.

Dżucze i Czollima

Dzisiaj Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna jest jednym z najlepiej rozwiniętych gospodarczo krajów Azji. I nie ma w tym twierdzeniu cienia przesady. Rozbudowano przemysł wydobywczy. A jednocześnie KRL-D przestała być dostarczycielem surowców, powstał tam przemysł ciężki i maszynowy, produkujący coraz więcej i nowocześniej. Oczywiście trudno o porównania np. z Japonią, ale wyniki gospodarcze osiągnięte przez ten niewielki, liczący około 17 mln ludności kraj, zasługują na uwagę.

W. Rosenberg – wykładowca na uniwersytecie w Christchurch (Nowa Zelandia) pisał przed czterema laty: **„Korea – kraj, który zaledwie przedwczoraj był japońską kolonią, zacofaną o niskim standardzie życia, który zaledwie wczoraj był stertą gruzów świadomie zaplanowaną przez amerykańskie lotnictwo – dziś jest krajem, w którym samochody całkowicie zastąpiły zwierzęcą siłę pociągową, gdzie nowoczesne warunki życia wypierają odwieczny sposób życia głodującego chłopstwa, gdzie oświata wypiera ignorancję, przesądy, zacofanie techniczne i analfabetyzm. Wszystko to osiągnięto bez zagranicznych długów i zagranicznych inwestycji, bez utraty niezależności od krajów uprzemysłowionych".**

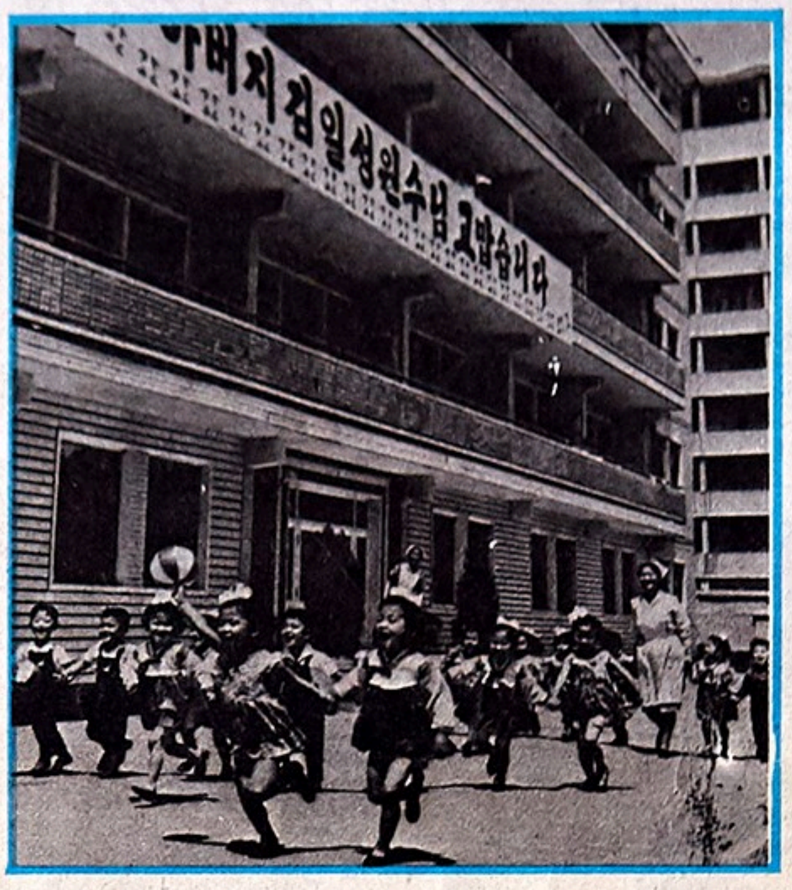

KRL-D rzeczywiście przyjęła zasadę budowy gospodarki narodowej w oparciu o własne siły. Tzw. idea Dżucze stała się główną regułą rewolucji koreańskiej. Sprowadza się ona do nie naśladowania obcych wzorów, do nie opierania się na obcej sile. Prezydent Kim Ir Sen określił jej istotę jako życie według **„własnego rozumu w zgodzie ze swoimi siłami, rozwiązywanie wszystkich spraw zgodnie ze swoimi realnymi warunkami i interesami rewolucji."**

Zastosowanie tej zasady w praktyce zapewnia wysokie tempo rozwoju, z drugiej strony jednak wywołuje także od czasu do czasu sporo ostrych napięć. Toteż ścisłe przestrzeganie idei Dżucze wymaga od Koreańczyków wielu poświęceń. Warunki ich życia, mimo że poprawiają się z roku na rok są jeszcze dosyć skromne. Wyrzeczenia te społeczeństwo północnej Korei traktuje jednak z pewną dumą, uznając je za konieczność niezbędną dla pomyślnego rozwoju ich ojczyzny. Szczycą się tym, że wszystko co mają zawdzięczają tylko samym sobie. Jednak nieporozumieniem byłoby sądzić, że KRL-D rozwija się w izolacji od świata. Korzystała ona i korzysta nadal z bardzo wszechstronnej pomocy krajów socjalistycznych i systematycznie zwiększa z nimi obroty handlowe. Tak jest np. w wypadku kontaktów gospodarczych z Polską.

* * *

Stare ludowe podanie koreańskie mówi o odważnym bohaterze, który jednym tchem pokonywał góry i morza pędząc z prędkością tysiąca li dziennie. Nazywał się Czollima. Znaczek symbolizujący tą postać noszą dziś tysiące Koreańczyków. Imię Czollima stało się hasłem narodowego współzawodnictwa, którego celem ma być maksymalne przyspieszenie rozwoju KRL-D.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI
Fot. **CAF**

BASEM GO!

Teoria jest jasna i prosta. W każdej dyskusji lub sporze są dwie ścierające się ze sobą racje. W teorii, wymiana poglądów powinna być czymś w rodzaju „szlachetnej walki" na argumenty. Pojedynkiem, w którym orężem jest znajomość tematu, umiejętność przekonywania, inteligencja dająca ów rzadki dar znalezienia natychmiastowej celnej i zwięzłej odpowiedzi. W teorii...

Wróćmy na ziemię; a jak jest na co dzień, w czasie dziesiątków sporów, w których uczestniczymy w domu, w szkole, w grupie kolegów. Byłem ostatnio świadkiem kilku takich ożywionych polemik. Mniejsza o co kruszono kopie. Dużo ważniejszy wydał mi się sposób prowadzenia tych rozmów, styl dyskusji.

A sposobów jest kilka. Można np. szybko niczym karabin maszynowy wyrzucić z siebie swoje argumenty, nikomu nie dając dojść do słowa. A potem wzruszeniem ramion lub pełnym wyrozumienia uśmiechem kwitować to, co mówią adwersarze. Lub inaczej. Łaskawie słuchając, co też tamta strona ma do powiedzenia można wcale nie zastanawiać się nad sensem wypowiedzi przeciwników. A w odpowiedzi z uporem maniaka powtarzać w kółko to, co się wie. Wirtuozi tej sztuki zniechęcenia współpartnerów do dyskusji obowiązkowo zawsze muszą zacząć od „Adama i Ewy" do znudzenia powtarzając to, co zostało już wcześniej powiedziane, upajając się swoimi racjami. A jeszcze lepiej jest dodać do tego całą masę różnych nieważnych dla istoty sprawy szczegółów. Skutek jest wiadomy. Ręczę za to, że po dziesięciu minutach tak prowadzonej dyskusji, nikt spośród jej uczestników nie wie, o czym jest mowa, gdzie tkwi główny problem sporu. A własny punkt widzenia każdego z nich staje się tylko i wyłącznie jego słodką tajemnicą.

Obie sytuacje są klasycznymi przykładami, jak nie powinna wyglądać dyskusja, jak można ją „rozłożyć", sprowadzić do jałowej gadaniny. Ale nie sądzę, by taki finał w większości wypadków był zamierzonym celem któregoś z uczestników sporu, by dążył do niego świadomie. Raczej niepowodzenie należałoby złożyć na karb coraz powszechniejszej nieumiejętności dyskutowania. W tym tkwi przyczyna porażki. W rozgorączkowaniu i zacietrzewieniu zapomina się, co jest głównym celem rozmowy; zapomina się, że powinna w jej wyniku powstać opinia, która połączy racje obydwóch stron, pogodzi dwa sprzeczne lub różniące się od siebie poglądy. Jeśli siadając do dyskusji żadna ze stron nie będzie gotowa do kompromisu, a więc zrozumienia i uznania, choć w części argumentów partnerów to cały spór przypominać będzie przysłowiową gadaninę „dziada do obrazu". Będzie wiele hałasu o nic.

A właśnie! Z tych kilku sporów, w których ostatnio uczestniczyłem wyszedłem nie tyle przekonany, co ogłuszony. Spierano się ostro, rozmówców nosił temperament i siłę swoich argumentów starali się spotęgować siłą głosu. To, co mieli do powiedzenia wywrzaskiwali. Być może głośniej to dla nich znaczy bardziej przekonywająco.

Niektórym ten styl wszedł już w krew, stosują go na co dzień przy każdej okazji i tym chętniej im mniej mają rzeczywiście do powiedzenia. „Biorą na huki, basują" – jak to się mówi w młodzieżowym żargonie – sądząc, że wystarczy wrzasnąć, by reszta umilkła w przekonaniu o słuszności ich racji. Ale tak jest chyba do czasu, kiedy dyskutant-krzykacz natrafi na dyskutanta – krzykacza o jeszcze większej sile głosu. Zostanie przekrzyczany, ale czy będzie przekonany?

Pewien starszy pan, gdy zdarzało mu się zabierać głos w najgorętszym momencie dyskusji, zawsze zaczynał mówić nieco przyciszonym głosem. Po krótkiej chwili wszyscy milkli, starając się dosłyszeć jego słowa. Sposób to nienowy ale skuteczny. Mówmy nieco ciszej, niech ci co chcą nas słyszeć nadstawiają ucha.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

„A GDY PRZYJDZIE ZMIERZCH W RUINACH...”

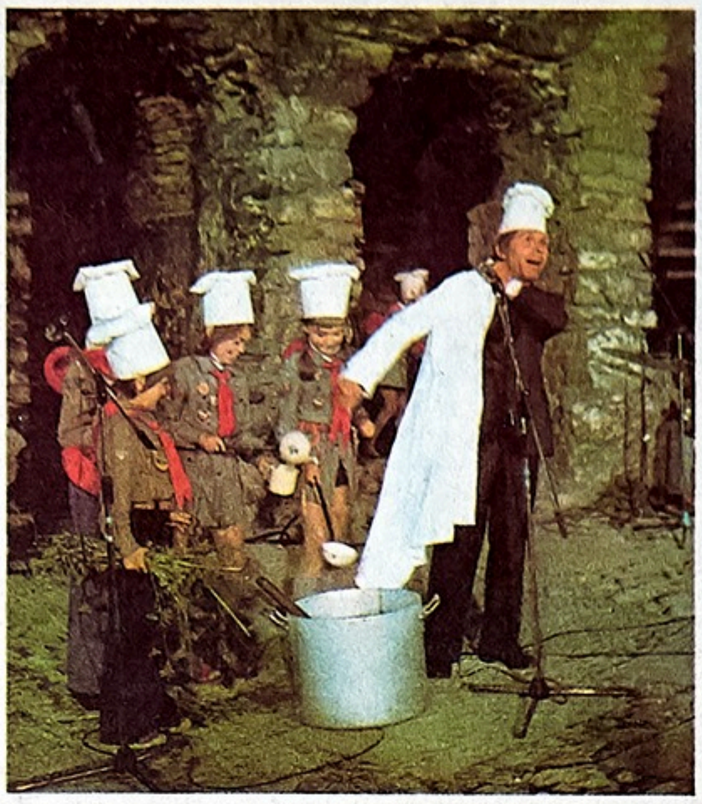

W ruinach czternastowiecznego zamku w Ogrodzieńcu, na szlaku Orlich Gniazd, zgromadziło się kilkuset zuchów, harcerzy i instruktorów katowickiej chorągwi na ognisko harcerskich wspomnień. Rozpalono je na zamkowym dziedzińcu. Koniec wakacji, urokliwa sceneria i rocznica tragicznego września nastrajały do wspomnień o dniu dzisiejszym i tamtych latach. Obecni byli dawni harcerze i działacze harcerscy: ci, którzy pierwsze drużyny zakładali w początkach naszego stulecia; harcerze Szarych Szeregów; organizatorzy pierwszych powojennych akcji szkoleniowych w Zagłębiu Dąbrowskim. O swej wielkiej harcerskiej przygodzie, o pięknych tradycjach Związku opowiadali hm PL Bogusław Jakubowicz – harcerz od sześćdziesięciu jeden lat i phm Zofia Kapuścik – organizatorka pierwszego powojennego biwaku harcerskiego w Ogrodzieńcu, w marcu 1945 roku. O bohaterstwie katowickich harcerzy i harcerek z Wieży Spadochronowej we wrześniu 1939 r. mówiły także wyświetlane na ognisku fragmenty filmu „Ptaki ptakom”.

O harcerstwie dnia dzisiejszego opowiadali swym starszym druhom harcerze z „ZAMONITU”, „KLIMCZOKA”, „RODŁA”. „AMARU” i wielkiej operacji „Azymut – Huta Katowice”. Wspomnienia przeplatane były nowymi i starymi piosenkami harcerskimi w wykonaniu „Słonecznych”, „Maskotek”, „Siemian”. Wojskową piosenkę śpiewał – Wojciech Siemion.

Na zakończenie wybrano harcerskiego kandydata do plebiscytu na „Młodzieżowego Bohatera Roku”. Został nim org. Grzegorz Zalot, absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. W. Piecka w Katowicach. Umiejętnie potrafi pogodzić harcerską robotę z doskonałymi wynikami w nauce. Jest dwukrotnym laureatem olimpiady wiedzy technicznej, laureatem olimpiady fizycznej, matematycznej i astronomicznej. Zdobył także drugie miejsce na międzynarodowej olimpiadzie fizycznej.

Stara zamonitowa piosenka głosi: „A gdy przyjdzie zmierzch w ruinach, błądzą cienie dawnych dni...”. Tak było i tym razem, na niecodziennym harcerskim ognisku, w ruinach czternastowiecznego zamku. **(mt)**

Fot. **Michał Żbikowski**

SPOTKANIE Z PISARZEM

Świat, którego nie ma

– Co Pana zdaniem jest najważniejsze w fantastyce naukowej?

– Wydaje mi się, że rola fantastyki polega nie tylko na tym, by zabawić czytelnika, lecz na tym także, żeby go zbulwersować, pobudzić do nieco innego myślenia, odmiennego spojrzenia na świat. To jest chyba konieczne w epoce, kiedy człowiek powinien być przygotowany na różne przejawy postępu w technice, w dziedzinie stosunków międzyludzkich. W związku z tym fantastyka powinna spełniać rolę forpoczty, tego, co może, aczkolwiek nie musi, nastąpić. Moim zdaniem science-fiction nie może pretendować do miana nauki o przyszłości, bo tę rolę spełnia futurologia, jednak powinna psychicznie przygotowywać człowieka do przyjmowania pewnych zadziwiających zjawisk, które mogą w przyszłości zaistnieć.

– Czy fantastyka może kiedyś napotkać granicę, której nie zdoła przekroczyć, czy może się zdarzyć, że wykorzysta wszystko, co tylko wykorzystać można?

– Musiałbym tu zabawić się w futurologa, a futurologię sam skrytykowałem. Mógłbym na to odpowiedzieć w ten sposób. Dopóki w ogóle będzie istnieć coś takiego jak literatura, to na pewno jednym z jej nurtów będzie fantastyka rozumiana jako tworzenie nie istniejącej rzeczywistości, ponieważ fantastyka jest związana chyba z tym niewyżytym w człowieku instynktem tworzenia czegoś wielkiego. Możemy zrobić jakąś określoną rzecz, jakiś przedmiot, maszynę czy urządzenie, ale nigdy nie będziemy w stanie stworzyć jakiegoś świata, wszechświata, galaktyki, podczas gdy twórczość fantastyczna pozwala nam powoływać do życia dowolne układy, dowolnie rozległe systemy, które nigdy nie powstały i nie powstaną. I dlatego myślę, że ten pierwiastek fantastyczny zawsze będzie żywy, dopóki istnieć będzie literatura i sztuka.

– Czy można zaryzykować stwierdzenie, że Pan w swojej twórczości stosuje coś w rodzaju dociekań naukowych? Zadaję to pytanie myśląc o opowiadaniu „Przejście przez lustro”, gdzie intryguje Pana to, co dzieje się po drugiej stronie zwierciadła.

– Tak. Fascynują mnie pomysły, które na pozór stanowią absurdalne zaprzeczenie uznanej rzeczywistości. Określić to można jako tworzenie pewnego modelu opartego na kilku wymyślonych założeniach i wyciągnięcie z nich wszelkich konsekwencji. To jest zresztą jeden z nurtów fantastyki naukowej – kiedy zakładamy istnienie jakiegoś świata, tworzymy model nie istniejącej rzeczywistości i staramy się wyobrazić sobie, jak ta rzeczywistość będzie wyglądała w ekstrapolacji po przeprowadzeniu logicznej analizy wszystkich założeń, co z tego nam wyniknie. I czasami otrzymujemy zaskakujące wnioski, które są wewnętrznie spójne i jedynie nieprawdziwość założeń decyduje o tym, że one same nie realizują się. Bardzo często pomysł opowiadania nasuwa się w ramach sprowadzenia do absurdu pewnych realnych wydarzeń. Na przykład, jeśli wyobrazimy sobie niedorzeczne konsekwencje jakiegoś posunięcia, wynalazku technicznego czy odkrycia przyrodniczego, jeżeli puścimy wodze fantazji i wyzwolimy się z więzów logiki stosowanej na co dzień, mogą z tego wyniknąć dość zabawne sytuacje jak właśnie we wspomnianym przez pana opowiadaniu **„Przejście przez lustro”**, które stanowi klasyczny przykład, jak można w sposób logiczny uzasadnić istnienie czegoś, co prawdopodobnie nie istnieje. Chociaż kto wie? Może coś w tym jest, może za tym zwierciadłem coś jednak się znajduje; trzeba tylko umieć za nie zajrzeć.

– Czy chciałby Pan przenieść się w świat jutra stworzony w pańskich opowiadaniach?

– Być może tak, ale pod warunkiem, że zachowałbym moją władzę twórczą, czyli mógłbym kształtować nadal rzeczywistość wokół siebie, według własnych pomysłów. Światy przyszłości w fantastyce naukowej bywają zazwyczaj ledwie naszkicowane, a przebywanie w takiej niedookreślonej rzeczywistości nie wydaje mi się bezpieczne. A poza tym musiałbym mieć z góry zapewniony bilet powrotny do współczesności, no bo uważam, że mam tu jeszcze parę rzeczy, z których nie chciałbym rezygnować: z tego czasu i z tych powiedzmy warunków, w których aktualnie się znajduję.

– W niektórych powieściach science-fiction autorzy przepowiadają totalną zagładę ziemskiej cywilizacji. Co o tym sądzić?

– Myślę, że nie należy się tym zbytnio przejmować, ponieważ gdyby człowiek wstając rano myślał o tym, że może mu się przytrafić nieszczęśliwy wypadek, to nie byłby w stanie w ogóle podjąć jakiejkolwiek działalności i czegokolwiek stworzyć. A cywilizacja nasza może zginąć w każdej chwili właśnie wskutek nieszczęśliwego wypadku. Natomiast wcale nie jest nieuchronną koniecznością – przynajmniej w wyobrażalnym czasie. Unicestwienie może nastąpić z winy ludzi albo w wyniku działania czynników zewnętrznych, rozumnych lub żywiołowych, ale to właśnie należy potraktować jako przypadek.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

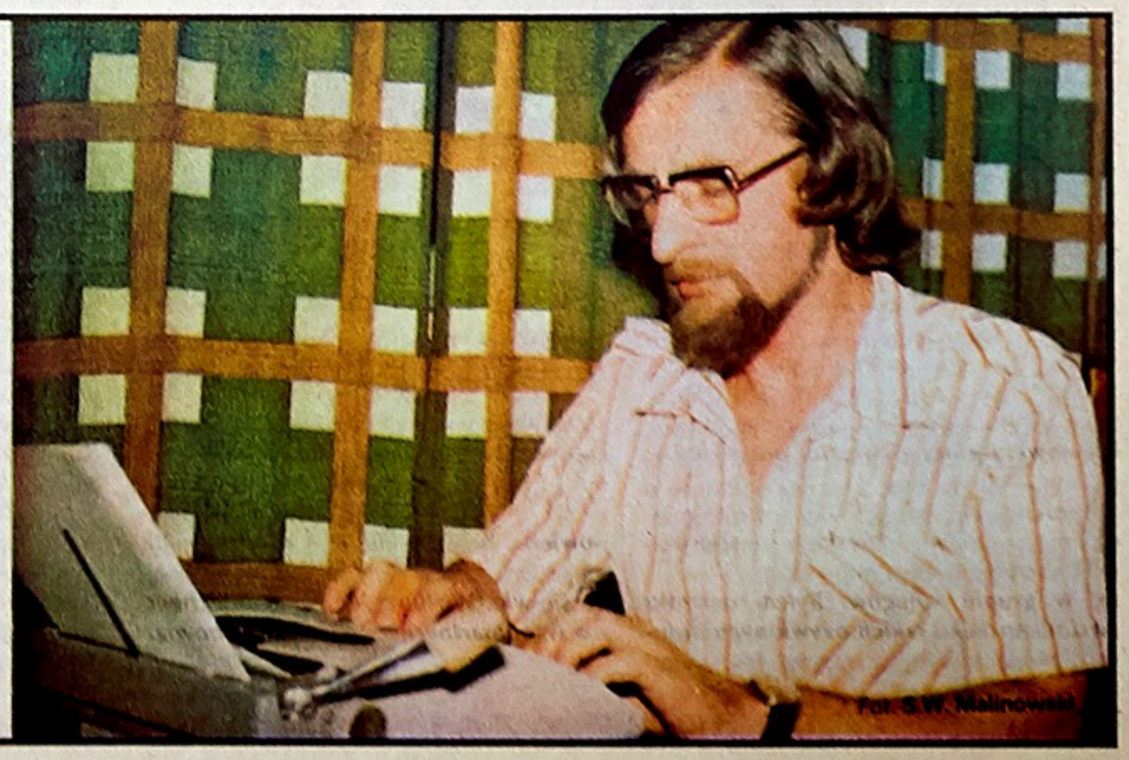

Janusz Andrzej Zajdel jest pracownikiem naukowym Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie. Twórczość pisarską traktuje jako hobby. Zadebiutował 16 lat temu opowiadaniem „Tau Wieloryba” opublikowanym w młodzieżowym popularnonaukowym miesięczniku „Młody Technik”. Od tamtej pory wydał drukiem dwie powieści i trzy zbiory opowiadań, z tym że opowiadań było około sześćdziesięciu. Pisze słuchowiska radiowe i scenariusze do filmów popularnonaukowych, para się działalnością oświatową z zakresu ochrony naturalnego środowiska człowieka i działa w Ogólnopolskim Klubie Miłośników Fantastyki Naukowej. O fantastyce naukowej w kontekście jego twórczości dzisiaj rozmawiamy.

Szkoła nie ma tradycji harcerskich. Dogrzebałam się wprawdzie w kronice do dyplomu uznania z 1967 r. dla „Harcerskiej Drużyny Rajdowej za wzorową postawę oraz radiofonizację całej trasy rajdu" – lecz nikt o tym nie pamięta. Tamta drużyna już nie istnieje. Właściwie harcerze zaczęli działalność dopiero trzy lata temu, kiedy do pracy w szkole przyszedł obecny komendant. Przez te trzy lata dorobili się harcówki, klubu krótkofalowców. Kilku harcerzy ma swoje drużyny w szkole podstawowej.

Czekając na listy

Najwięcej energii i wysiłku pochłonęła akcja, którą uwieńczyło nadanie szczepowi imienia José Marti. Odbyło się to bardzo uroczyście (w czerwcu) z udziałem kubańskiego attachèe i wielu gości. Roboty było bardzo dużo. Wcześniej podzielili się na kilkanaście grup działania. Trzeba było wystarać się o dofinansowanie imprezy przez olsztyńskie zakłady pracy, wysłać zaproszenia, przygotować wypowiedzi na apelu. Szkolna orkiestra ćwiczyła hymn kubański, a 30 członków warty honorowej dwa razy w tygodniu wydeptywało boisko. Jedna z grup wyszukała byłych uczestników międzynarodowych festiwali młodzieży i studentów i zaprosiła ich na tę uroczystość.

To były sprawy organizacyjne, pochłaniające wiele czasu, lecz nie najważniejsze. Gdy w październiku ubiegłego roku na radzie szczepu wybrali na bohatera kubańskiego poetę, wiedzieli bardzo mało o nim i jego kraju. Próbowali czytać jakieś książki o Kubie, ale w bibliotece były tylko 3 czy 4. Rozchwytywali każdy wycinek z prasy. Józek wraz z komendantem pojechał do ambasady kubańskiej, ale nie bardzo mogli się tam dogadać. Janusz – szef klubu wiedzy społeczno-politycznej – dostał trochę materiałów z wojewódzkiej FSZMP.

Byli też w Warszawie, w szkole im. José Marti. Nie pozwolono im tam nawet sfotografować eksponatów. Jakoś nie wyszedł im ten kontakt. W marcu wysłali 5 listów na Kubę i... czekają na odpowiedź. Nikt z nich nie zna języka hiszpańskiego. Listy przetłumaczył im nauczyciel, który niestety wyjechał już z Olsztyna. Komendant podobno uczy się hiszpańskiego...

Podczas ostatniego roku kilku najbardziej wtajemniczonych harcerzy chodziło do poszczególnych klas, by przekazać wiedzę o bohaterze szczepu i jego ojczyźnie. Nie była to wdzięczna praca. Zdarzyło się, że jeden ze słuchaczy wiedział więcej niż prowadzący dyskusję. Gdy w czasie uroczystości dziennikarz zapytał harcerza co wie o José Marti, ten zaczął mu recytować życiorys... Fidela Castro.

Jak by nie oceniać tę kampanię trzeba przyznać, że członkowie szczepu liznęli trochę wiedzy o Kubie. Czy mogli więcej? Brak materiałów – to prawda. A gdyby tak zaprosić jakiegoś polskiego naukowca, lekarza, dziennikarza czy sportowca, by przekazał wrażenia z pobytu w tym kraju? Przecież Olsztyn to nie taka znów prowincja, a i zatelefonować do Warszawy można bezpośrednio.

Tylko – kto to ma zrobić?! Komendant? Jak zdążyłam zauważyć, nie rozpieszcza swych podopiecznych. Dobrze to, czy źle? Gdyby robił więcej, osiągnięcia byłyby bardziej widoczne. Może jednak nie chce przyzwyczajać harcerzy do tego, że będzie za nich załatwiał różne sprawy, bo gdy odejdzie, znów zabraknie inicjatywy i szczep się rozpadnie.

Tak mniej więcej wyglądają osiągnięcia szczepu. Przez trzy lata wydarzyło się sporo. Sądzę, że mogło być więcej. Bo choćby harcówka – niby jest, lecz teraz zamieniono ją na magazyn z książkami. Jest tam wystawa najlepszych prac, a brak... atmosfery miejsca, gdzie się fajnie spędza czas. Klub krótkofalarski zawiesił działalność, bo od kilku miesięcy nie ma kto naprawić aparatury. Nie wysłano też około 300 kart potwierdzeń uzyskanych połączeń.

I tak z wieloma sprawami. W wakacje zorganizowali obóz dla uczniów klas pierwszych, którzy w szkole podstawowej należeli do harcerstwa, by ich wciągnąć do działalności HSPS. Obóz się skończył i nie wiadomo, czy w klasach pierwszych będą drużyny. Bo nikt nie przywitał „pierwszaków" na początku roku, nie przedstawił im szczepu, tak, by od razu poczuli się „u siebie".

Te zarzuty są usprawiedliwione (w pewnej mierze) ogólną atmosferą w szkole. Mimo przychylności dyrekcji harcerze mają spore kłopoty. Niektórzy nauczyciele, nie tyle, że są obojętni, co wręcz utrudniają im życie. Odezwania: „ty harcerz, chodź do tablicy, pokaż co potrafisz!" – nie są rzadkością. Nauczyciele niechętnie patrzą na zwalniających się z lekcji, bo akurat trzeba coś załatwić. Rozumiem: nauka przede wszystkim! Ale czy tylko nauka?! Wśród harcerzy przeważają przecież dobrzy uczniowie. Karanie ich dodatkowym odpytywaniem za chęć działania nie jest najlepszą metodą wychowawczą.

Byłoby nieprawdą, gdyby takie postępowanie zarzucić wszystkim nauczycielom. Jest wśród nich wychowawczyni, która dała uczniowi własne pieniądze na kupno munduru. Ale są też tacy, którzy na widok komendanta szczepu szepczą: „Harcerzyk idzie..."

Harcerzom trudno w takiej sytuacji o lepszę i bardziej interesujące formy działalności. Gdy w czasie ferii przebywała grupa kubańskich pionierów – kierownik internatu nie załatwił dla nich noclegu. Do spotkania z pionierami nie doszło. Pozostało czekać na listy z Kuby. Tylko – kto je przetłumaczy!?

Wydaje mi się, że harcerzom z Olsztyna zabrakło w tym roku „drugiego oddechu". Zrobili dużo, jak na ich możliwości, przygotowując czerwcową imprezę z okazji nadania szczepowi imienia. Z tego powodu są oceniani jako jeden z najlepszych szczepów w chorągwi! Teraz nie bardzo wiedzą, co mogliby robić w swoim klubie międzynarodowej przyjaźni. A przecież czekanie na listy nie wystarczy!

ANNA PACIOREK

Krzysztof Niedźwiecki

pisze z Holandii:

WITAMY W MIEŚCIE SERA

Na liście zabytkowych miast Holandii Alkmaar zajmuje pozycję niezwykłą. Miasto liczące, jak głoszą najstarsze zachowane dokumenty, przeszło 800 lat, początkowo nazywało się Almere. W ciągu swojego ośmiowiekowego istnienia było miejscem wielu historycznych wydarzeń. W roku 1573 Alkmaar w dniach wojny z Hiszpanią, jako pierwszy gród Holandii, oparł się obcemu najazdowi. „Zwycięstwo rozpoczęło się od Alkmaaru" – głosi kamienna tablica wmurowana w ścianę zabytkowego kościoła. A dziś otoczony fortyfikacjami, które zatrzymały pułki hiszpańskie, poprzecinany kanałami, pełen uroczych uliczek, zwodzonych mostków i kolorowych domków. Alkmaar jest wymarzonym wprost miejscem wycieczek w historię.

Współczesnego turystę do Alkmaaru przyciąga jednak nie tylko wspaniała architektura, czy burzliwe dzieje tego położonego na północy Holandii miasteczka. Magnesem dla tysięcy ludzi ściągających co tydzień do miasta, jest... żółty ser. Przynajmniej raz w tygodniu, w piątek, Alkmaar staje się krainą serowej obfitości.

W piątek już wczesnym rankiem znalazłem się w samym środku miasta. Wzdłuż ulicy Długiej ubrani w ludowe stroje, w nieodłącznych przy takich okazjach drewnianych sabotach, sprzedawcy ustawiają towary na straganach. Wielki plac w środku miasta, zastawiony jest samochodami-chłodniami. W każdej niemal pół tony żółtego sera. Na razie ruch jest niewielki, kręcą się tylko ubrani na biało przedstawiciele producentów. Zostało jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia sprzedaży.

Około dziesiątej na ciasnych uliczkach miasteczka robi się coraz tłoczniej. Parkingi wprost pękają w szwach. Na ulice wysypuje się sznur obwieszonych aparatami fotograficznymi turystów. Ale także rodowici Holendrzy za punkt honoru poczytują sobie możliwie najczęstszy udział w serowym targu. Mój holenderski przyjaciel twierdzi, że tylko kilka razy zrezygnował z wyjazdu do Alkmaaru. Jest tu prawie co piątek. Kto żyw wali na plac targowy, pierwsi mają jeszcze szanse coś zobaczyć, spóźnialscy oblepiają słupy telegraficzne, wdrapują się na latarnie. Rozpoczyna się jeden z najsłynniejszych targów na świecie.

Na rozścielone na ziemi długie brezentowe płachty sery wysypują się z otwartych ciężarówek. Różne – jedne całkiem okrągłe niczym piłki, inne owalne, jeszcze inne w kształcie walców. Na każdej płachcie ułożone równiutko coraz to inne rodzaje sera, z różnych regionów Holandii i wyprodukowane, oczywiście, przez inną wytwórnię. Ser należy w tym kraju do najbardziej popularnych i najchętniej jadanych przetworów mlecznych. W każdej holenderskiej rodzinie podawany jest na śniadanie, jako przystawka do obiadu.

Zbliża się kulminacyjny moment targowiska. Wzdłuż żółtej pryzmy idzie przedstawiciel firmy, która ser kupuje i rozprowadza go potem po sklepach. Rozpoczyna się degustacja, potem jakieś tajemnicze oklepywanie żółtych kul i walców. Z jednej, widocznie „podejrzanej" długim szpikulcem degustator wycina kawałeczek, wkłada do ust. Chwila zastanowienia i grymas na twarzy.

– Eh, do niczego, co wy mi tu chcecie sprzedać. To ma być ser?

– Do niczego? – podchwytuje sprzedający – takiego sera nie było jak Alkmaar Alkmaarem. Jaki zapach! Co za smak!

Te wszystkie „wybrzydzania" i „zachęcania" należą oczywiście także do cotygodniowego rytuału dostarczając turystom nie lada uciechy.

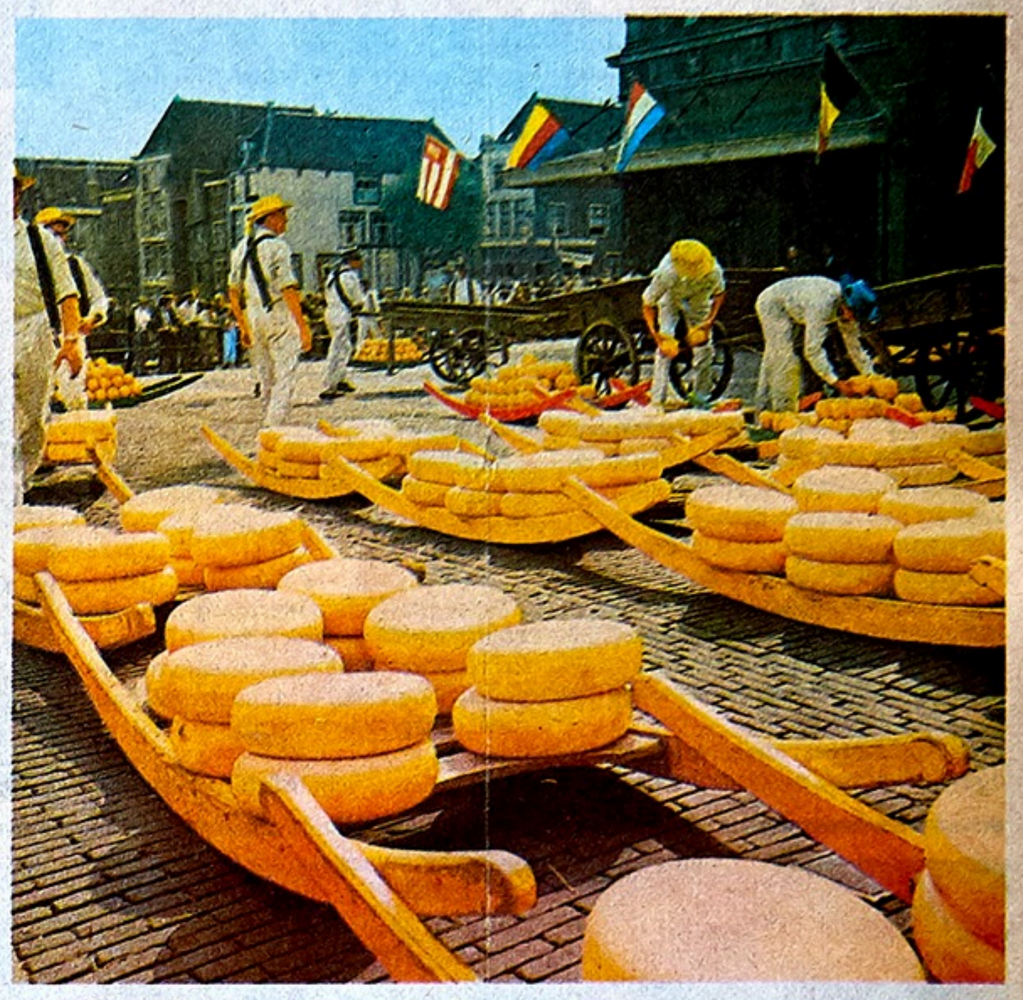

Wreszcie przybicie w rękę i transakcja zostaje zawarta. Sprzedano kilka ton sera. Teraz zaczyna się największa frajda dla stęsknionych folkloru turystów. Podbiegają tragarze, ubrani w ludowe stroje, w różnokolorowych czapkach – znakach poszczególnych wytwórców. Na plecach dźwigają specjalne drewniane nosiłki. Szybko i sprawnie ładują na nie góry sera. Po czym truchcikiem, tak jak przed wiekami biegną do wielkiej żelaznej wagi.

– Sto pięćdziesiąt funtów – na tablicy wypisana zostaje waga przyniesionego sera. Ów specyficzny trucht również ma swoją historię. Dawniej kupujący ogłaszał ile sera potrzebuje i od sprawności tragarzy zależało, która z firm sprzeda go najwięcej. Przez kilka godzin bez przerwy płynie do samochodów pachnąca na dużą odległość rzeka żółtego sera. Już niedługo trafi ona na holenderskie i zagraniczne stoły.

Powoli zbliża się finał malowniczego spektaklu. Producenci sera wyjeżdżają zasobniejsi w gotówkę. Turystom pozostaną wrażenia z udziału w niecodziennym targu i tysiące zdjęć.

Ale handlowy piątek w Alkmaarze dla nich jeszcze się nie kończy. Tłoczno jest nadal przy straganach, gdzie sprytni sprzedawcy oferują tysiące pamiątek z serowego targowiska. Dopiero późnym wieczorem zapada cisza na wąskich wiekowych uliczkach. Można pójść na długi spacer po malowniczych zaułkach, pomyśleć o burzliwych i pięknych dziejach tego zakątku Holandii.

Za tydzień będzie nowy targ. I znów kolorowe plakaty powitają tysiące żądnych wrażeń przybyszy: „Witamy w Mieście Sera, w każdy piątek zobaczysz to czego nigdzie nie zobaczysz." Taki jest Alkmaar od końca kwietnia do połowy września.

Fot. **archiwum**

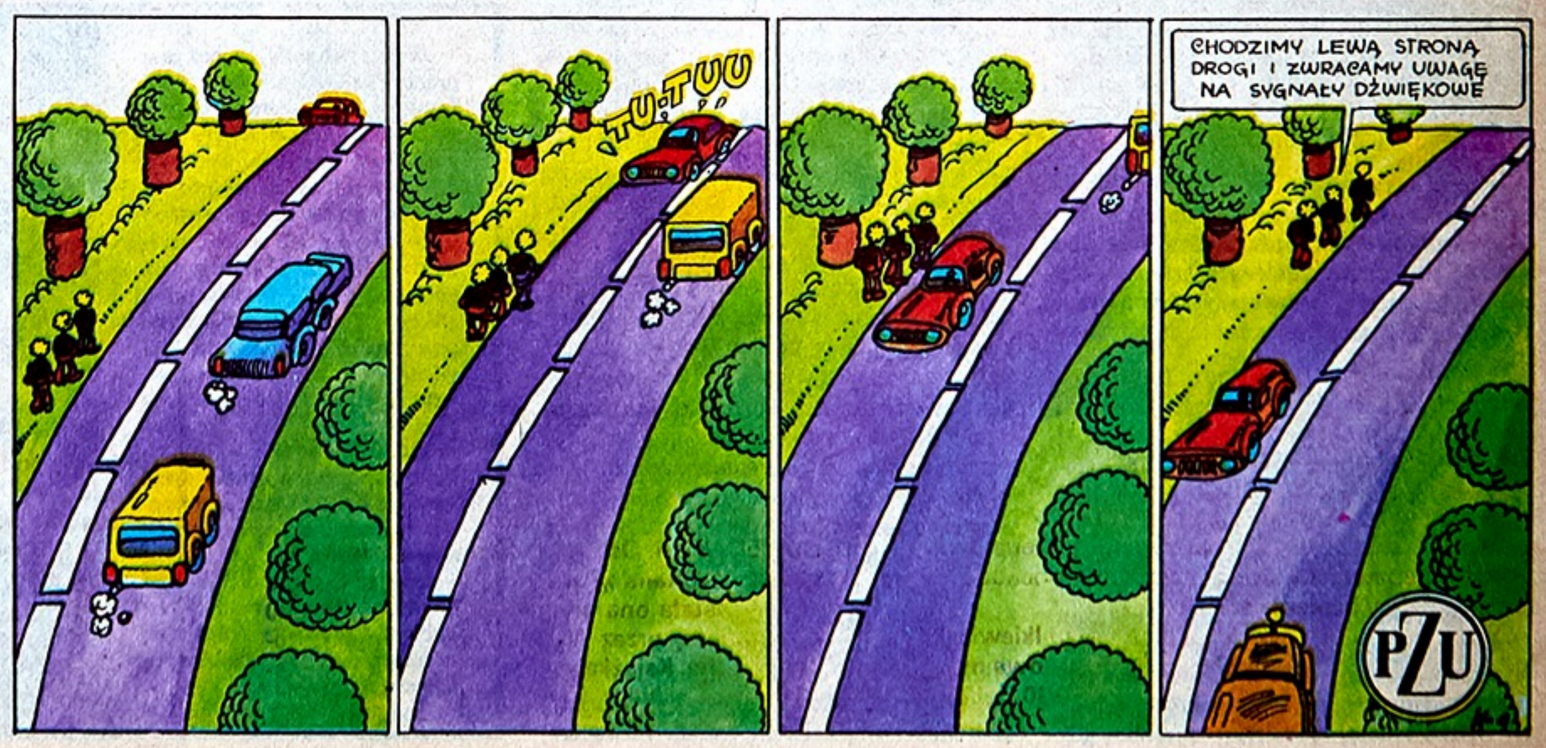

SPORTOWA RODZINA

Jokiel – to nazwisko nie jest obce nikomu kto interesuje się sportem. Dla tych zaś, którzy interesują się gimnastyką znaczy bardzo wiele. To właśnie Jerzy Jokiel podczas Igrzysk Olimpijskich w Helsinkach wywalczył srebrny medal w ćwiczeniach wolnych. A przecież wówczas, przed 25 laty, gimnastyk ze Śląska otarł się nawet o złoto. Ćwiczył najlepiej, ale... przekroczył czas ćwiczeń o 2 sekundy. Regulamin był nieubłagany. Tylko srebro i... aż srebro! Bo medal ten przecież jest do dziś największym osiągnięciem polskiej gimnastyki w ogóle.

Rodzina Jokielów ma w swojej kolekcji jeszcze jeden przywieziony z Olimpiady krążek – tym razem brązowy. Należy on do pani Doroty Jokielowej, która wraz z koleżankami otrzymała go w Melbourne za zespołowe ćwiczenia z przyborem. Na koncie więc tej rodziny zapisane zostały największe sukcesy polskiej gimnastyki.

Wszystko to działo się wprawdzie dwadzieścia parę lat temu, ale nie są to przecież sprawy ani znów tak odległe, ani też zapomniane. Dziś jednak coraz częściej mówi się o Jokielach – juniorach, Mariuszu i Anicie. Ostatnio zaś bardzo wiele o Anicie – najmłodszej latorośli rodziny, jedenastoletniej mistrzyni Spartakiady Młodzieży. Anita Jokiel – to już nie tylko córka sławnego sportowego małżeństwa, ale zadatek na zawodniczkę dużego formatu.

Złoto spartakiady

Anita jest dziś bardzo zaaferowana i niezwykle dumna. Dostała bowiem list. Napisała go Gabriela z Chrzanowic, a prosi w nim o dwa zdjęcia Anity. Jedno dla niej, a drugie do szkolnej gazetki. I koniecznie z autografem. No, cóż? Jeśli się jest mistrzynią Spartakiady, a w dodatku jeszcze mistrzynią najmłodszą...

Po przyjeździe z Łodzi Anita traktowana jest także przez rodzinę znacznie poważniej. Zwłaszcza zaś przez starszego brata. Mariusz nie pozwala sobie już na takie jak przed Spartakiadą uwagi w rodzaju: „nie bierz na zawody tej dużej torby, bo medale zmieszczą ci się w mniejszej". Z Łodzi przywiozła 3 złote medale i 1 srebrny, a Mariusz „tylko" 3 srebrne i 1 brązowy. Anitka może więc teraz pakować się na każde zawody spokojnie i bez obawy. Mariusz już się z niej nie śmieje. Uznał w swej siostrze gimnastyczkę.

Mistrzyni chodzi do Szkoły Podstawowej nr 1 w Nowym Bytomiu. Koleżanki wiedzą, że pracuje podwójnie. W szkole i na sali treningowej. I tu i tam ma dobre rezultaty, bo potrafi być systematyczna i wytrwała. Łódzki sukces małej Anity był rezultatem setek godzin pracy. Godzin spędzonych w gimnastycznej sali, gdzie tysiące razy trzeba powtórzyć jeden element, aby w czasie zawodów wykonać go lekko i z wdziękiem. Tak, aby nikt się nawet nie domyślił jaki ogromny wysiłek został włożony w jego przygotowanie.

Marzenia i nadzieje

Anita jest prawdziwie sportowym dzieckiem. Przyszła na świat w 1966 r. kilka miesięcy po wyjeździe taty do Meksyku. Pojechał tam trenować gimnastyczną reprezentację tego kraju przed zbliżającą się Olimpiadą. Igrzyska miały się odbyć właśnie tam i gospodarze nie chcieli, aby zabrakło ich przedstawicieli w tej jednej z najpiękniejszych i najstarszych olimpijskich dyscyplin.

Mama – Dorota Jokielowa poleciała do męża kiedy mała miała zaledwie kilka miesięcy. Wtedy też szczęśliwy tato zobaczył córkę po raz pierwszy. Anita rosła i wychowywała się na gimnastycznej sali. Nie ma w tym żadnej przesady. I w Meksyku i po powrocie bawiła się po prostu wśród gimnastycznych przyrządów. Kiedy nauczyła się chodzić, próbowała także pierwszych ćwiczeń.

Zawodniczka Slavii Ruda Śląska cieszy się jednak i ... martwi. Cieszy łódzkim sukcesem, martwi, że nie dostała się do finału tegorocznych Zawodów Przyjaźni Krajów Socjalistycznych. A przecież odbywały się one dosłownie za miedzą rodzinnego miasta – w Zabrzu. Tak bardzo chciała! Wydawało się jej, że jeśli ćwiczyć będzie najlepiej jak tylko potrafi, to powinna znaleźć się w szóstce najlepszych w ćwiczeniach na równoważni. Tym razem jednak nie udało się, ale przecież Anita ma dopiero 11 lat.

Na początku tego roku dostała wspaniały, czerwony tornister. O takim marzyła. To był prezent rodziców za zwycięstwo w tegorocznej Spartakiadzie. Oczywiście wszystkie jej szkolne koleżanki, uczennice V klasy dokładnie go obejrzały i zgodnie orzekły, że prezent jest godny mistrzyni.

Co dzień całą czwórkę Jokielów spotkać można w sali gimnastycznej Slavii Ruda Śląska. Tato i mama są trenerami. Mariusz i Anita pilnie ćwiczą. Jedni i drudzy marzą o tym, aby do księgi olimpijskich medalistów raz jeszcze wpisano nazwisko – Jokiel.

LIDIA NOWAKOWA

Fot. **Michał Żbikowski**

REPORTER świata Mikstych

W JAKI SPOSÓB MOŻNA ZWIĘKSZAĆ TŁOK

Ostatnio wracałam ze zgrupowania do Bydgoszczy. Jechałam pociągiem rozpoczynającym kurs w Warszawie Zachodniej. Pociąg, jak to się często zdarza, miał od razu trzydziestominutowe opóźnienie ze względu na „sprawy techniczne". Po wejściu do pociągu na Dworcu Centralnym był już tłok na korytarzu, a co dopiero mówić o wolnych miejscach. Nagle zobaczyłam wraz z koleżanką, że w wagonie jest wolny przedział, cały zarezerwowany dla osób z dziećmi do lat 4. Dzieci nie było, toteż postanowiłyśmy wejść i zająć wolne miejsca. Razem z nami weszły starsze panie i niewidomy. Osoby, którym stanie i do tego w takim tłoku, sprawiało dużo trudności. Jakież było nasze zdziwienie, gdy pojawił się konduktor i nie dopuszczając nikogo do głosu krzyczał na wszystkich i kazał się „wynosić z przedziału". Nie pomagało tłumaczenie, że są osoby starsze, a dzieci nie ma.

Na następnej stacji przyszło trzech (!) konduktorów i zaczęli „wyrzucać" wszystkie osoby, mówiąc, że pociąg nie ruszy, dopóki wszyscy nie wyjdą. W końcu po dosyć długich debatach z niechęcią „ustąpili". Stwierdzili, że niewidomy może zostać, natomiast pozostali muszą przedział „bez szemrania" opuścić. Wszyscy wyszli i pociąg ruszył.

Zastanawiałyśmy się, gdzie tutaj jest logika. Ludzie stoją stłoczeni na korytarzach, gdy obok znajduje się pusty przedział, bo czasami nie jedzie aż tak wiele osób z małymi dziećmi. Pociągiem tym jeżdżą też ludzie starsi, nie mogący stać. A przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by zajęli oni wolne miejsca dopóki nie zjawią się ci, którzy są uprawnieni do tych miejsc. Wtedy i osoby starsze mają lepszą podróż, a i pozostałym jest wygodniej stać, gdy jest luźniej na korytarzu.

Jeszcze dodam, że po odjeździe pociągu starsze panie zajęły owe miejsca i ustępowały, gdy zjawił się ktoś z dzieckiem.

Dlatego zastanawiam się, czy było potrzebne to ubliżanie ludziom i próba zwiększania tłoku. Czyżby kolej chciała w sposób sztuczny zwiększyć i tak dużą liczbę osób jeżdżących tym środkiem lokomocji?

Maria Woźniak,
korespondencja pierwsza

REDAKCYJNA POCZTA

Czas z tym skończyć

Jestem mieszkańcem Radzynia Podlaskiego. Od dłuższego czasu obserwuję niepokojące zjawisko. W parku wiele dzieci w wieku szkolnym pali papierosy. Niektórzy młodzieńcy są nawet pod wpływem alkoholu. Zdarza się, że zaczepiają przechodniów, rzucają kamieniami, podbiegają znienacka, by np. wytrącić z ręki lody. Jest jeszcze druga równie uciążliwa i przykra sprawa. Po alejkach krążą Cyganki i gdy tylko dostrzegą, że ktoś siedzi na ławce, podchodzą i natrętnie proponują wróżenie. Jeśli ktoś nie chce się zgodzić, to wykrzykują obraźliwe przezwiska. Doszło do tego, że moją koleżankę Cyganka uderzyła. Takie zajścia mają miejsce podczas dnia. O zmroku nie każdy ma odwagę pójść do parku.

„Mieszkaniec"

Szkolna rocznica

Za pośrednictwem poczty pragnę nawiązać kontakt ze szkołami, które noszą imię Władysława Broniewskiego. Wraz z wychowankami klasy VIII b. bardzo proszę o przesłanie materiałów, które nadawałyby się na uroczystość obchodów 50 rocznicy istnienia szkoły.

Krystyna Walkiewicz,

Gdybym miała przyjaciela...

Od pewnego czasu dzieje się ze mną coś dziwnego. Usłyszę w radio jakąś sentymentalną piosenkę – płaczę, rodzice powiedzą coś do mnie podniesionym głosem – płaczę, nie powiedzie mi się w szkole – znowu łzy. Intuicyjnie wyczuwam dlaczego tak się dzieje. Po prostu chcę mieć przyjaciela, kogoś z kim mogłabym szczerze pogawędzić, kto zawsze pomógłby mi w trudnych dla mnie sytuacjach. Jest mi przykro, gdy widzę, jak moje koleżanki chodzą z chłopakami, mają przyjaciół, a ja – nie. Jestem wtedy rozżalona i z trudem powstrzymuję łzy. Stosunkowo najlepiej czuję się w szkole. Koleżanki spieszą się do domu, a ja chętnie zostałabym dłużej.

„Koren"

Coś dla fotoamatorów

Zbieram pocztówki, znaczki, maskotki, zdjęcia piosenkarzy. Interesuję się muzyką, na pianinie gram piąty rok. Uczę się języka niemieckiego. Ostatnio zajęłam się fotografią. Dlatego bardzo proszę o podanie mi tytułu książki dla początkujących fotoamatorów.

Anna Dziatkiewicz,

OD REDAKCJI: Ostatnio ukazała się książka Tadeusza Cypriana „Fotografia w szkole" – cena 11 zł. Została ona wydana w nakładzie 20 000 egzemplarzy przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. Książka w znakomity sposób udostępnia początkującym naukę fotografowania.

Uratował go profesor Zin

Ostatni, tym razem rysunek, na nasz wielki wakacyjny konkurs pod hasłem

nadesłała
ALEKSANDRA LUKAS
z Rudnik

Z czytelnikami, którzy interesują się archeologią nawiąże kontakt Janusz Pasterski,

natomiast z tymi, którzy pasjonują się dodatkowo historią i zabytkami architektury: Renata Michałowska,

i Anna Fiszer,

Lipie – niewielka miejscowość w woj. częstochowskim trafiła do spisu zabytków polskich dzięki istnieniu starego, osiemnastowiecznego sarmackiego dworku. Dworek ten jest drewniano-murowany, kryty łamanym, gontowym dachem, z pięknym modrzewiowym ganeczkiem. Przed domem rosną ogromne, stuletnie lipy (wszystko to starałam się wam dokładnie namalować), a tuż za nim znajdują się resztki świetnego parku, schodzącego tarasami w dół ku rybnym stawom.

Niegdyś należał on do rodziny Ponińskich, natomiast bezpośrednio przed wojną jego właścicielami byli Steinhagenowie. Późniejsze jego losy były opłakane – zapomniany, opuszczony, zbliżał się nieuchronnie do smutnego końca. I byłoby już po dworku, gdyby nie prof. Wiktor Zin, który w ostatniej chwili uratował go przed rozbiórką, angażując w to cały swój autorytet. Znalazł się też i opiekun – Spółdzielczy Kombinat Rolno-Spożywczy w Lipiu, który zajął się odbudową i w przyszłości zamierza zorganizować tu ośrodek myśliwski. Szkoda tylko, że dopiero interwencja profesora zmieniła katastrofalną sytuację i pozwoliła ocalić ten piękny, szlachecki dworek.

Rys. **Aleksandra Lukas**

Rozmowa z tatą była długa i poważna. Spodziewałam jej się od momentu, jak pani od polskiego wezwała tatę do szkoły. Tata po swoim powrocie ze szkoły marszczył się na twarzy, chodził po pokoju od ściany do ściany, zamknął się w pokoju z mamą, a dopiero na koniec poprosił mnie. W tym czasie – jak się marszczył i spacerował – umierałam ze strachu. W przerwach pomiędzy jedną falą a drugą, bo strach nadchodzi falami – tłumaczyłam sobie, że nie mam czego się bać, bo przecież sumienie mam czyste i nic strasznego nie zrobiłam.

W ogóle to była śmieszna historia. Lekcja polskiego była, ale pani powiedziała, żeby dwie osoby poszły do sklepu papierniczego po zeszyty do klasówek. Mnie wyznaczyła i Marka. Wyrzuciłam ze swojej torby wszystko na ławkę, aby mieć w czym te zeszyty nieść. Pani podeszła do mojej ławki i popatrzyła na moje klamoty. Były tam zeszyty, podręczniki oraz książki do czytania. Pani wzięła jedną z obrzydzeniem w rękę i pyta się: „To twoje?", a ja na to: „Niecałkiem, pożyczyłam od sąsiadki i muszę się spieszyć, żeby wszystko szybko przeczytać i oddać". A pani na to – „Nie wstyd ci?!" A ja na to: „Dlaczego miałoby mi być wstyd?". Wtedy pani się zdenerwowała – „Jak to, przecież to jest obrzydliwy kryminał!" To ja: „Ja bardzo lubię czytać kryminały". Wtedy pani powiedziała, żeby tata przyszedł do szkoły na drugi dzień. Aha, po te zeszyty już nie chodziliśmy.

Rozmowa z tatą była długa. Tata też zaczął od tego, że mu wstyd. Za mnie. Że czytam nic niewarte szmirowate kryminały, podczas gdy na świecie jest tyle literatury wybitnej, wspaniałej.

Słuchałam wywodu taty w milczeniu. I owszem, prawda, że na świecie jest dzieł literackich, wspaniałych i porywających, bez liku. Ale prawda to też, że dzieła wybitne czyta się ciężko – trzeba myśleć, zastanawiać się... A czasami człowiek jest zmęczony i chciałby rozerwać się po prostu. Jeden idzie wtedy przejechać się na karuzeli, drugi – łapie za kryminał. Ja należę do tych drugich.

Tata wysłuchał moich argumentów spokojnie i... powtórzył swoje. Jak tacie wolno, to i mnie też – ja też powtórzyłam. Wtedy tata próbował wyciągnąć ode mnie obietnicę, że już nigdy kryminału do ręki nie wezmę. Sformułowałam się oględnie – że postaram się. Potem tata skonfiskował wszystkie moje kryminały. A potem, wieczorem już, zobaczyłam, że... tata kryminał czyta. I usłyszałam, że mama na niego krzyczy: „Rzućże to, śmieci nie wyrzucone!", a tata jej odpowiada: „Momencik, momencik! Zaraz!"

ANKA

Redaguje:
LECH NOWICKI

Listy i liściki do „Świata Muzyki"

„Piszę do Pana (Janusza Popławskiego) w związku z ukazaniem się w «Świecie Muzyki» pierwszej lekcji nowego cyklu «Gramy na gitarze». Korzystałem z lekcji ukazujących się w 1975 i 1976 roku i oczywiście będę korzystał z nowych. Przez ten czas korzystałem z kilku podręczników gitarowych i podniosłem trochę swoje kwalifikacje, a także założyłem z kolegami zespół muzyczny. Ostatnio kupiłem książkę pt. «Szkoła na gitarę basową» Pana autorstwa i uczę się grać pochody basowe, na razie na gitarze akustycznej, ponieważ basowej nie posiadam. Proponuję, aby napisał Pan nie 10, lecz chociaż 20 nowych lekcji i żeby ukazywały się one w «Świecie Muzyki» co tydzień. Na koniec jedno pytanie. Czy założył Pan nowy zespół i jaki jest jego skład?"

Tyle Sławomir Wackowski z Łodzi, którego list przekazałem Januszowi Popławskiemu. Lekcji będzie prawdopodobnie 12, egzamin zaplanowaliśmy na koniec maja lub początek czerwca przyszłego roku. Janusz Popławski założył nowy zespół „Bumerang" (przedstawiałem go w jednym z czerwcowych numerów «Świata Muzyki». Wielu czytelników, m. in. Małgorzata Bujnowska z Wołowa chciałaby korespondować z „Profesorem" bez naszego pośrednictwa. Proszę bardzo, oto adres: 81-385 Gdynia 2, skrytka 60

„Nie pamiętam, w którym numerze „Świata Młodych" zamieścił Pan artykuł o Beatlesach. Pamiętam, jak biegałyśmy po mieście z koleżanką szukając tej gazety. Wreszcie miałyśmy w rękach po dwa egzemplarze i uszczęśliwione czytałyśmy. Chciałabym wiedzieć, skąd czerpał Pan wiadomości o Beatlesach. I jeszcze jedno: proszę zamieścić zdjęcie Beatlesów. Tylko proszę napisać, w którym numerze „Świata Młodych", bo znów przegapię i będzie tragedia".

Ewa Dąbrowska,

Księgarnia Muzyczna na Nowym Świecie sprowadza czasem zbiorki piosenek Beatlesów, opatrzone komentarzem w języku angielskim. Mam właśnie dwa takie zbiorki „50 HITS SONGS COMPOSED BY JOHN & PAUL" i „THE BEATLES YEARS", a w nich nuty i słowa ponad stu piosenek, a także stare i aktualne zdjęcia. Jedno z nich znajdziesz w następnym numerze «Świata Muzyki». Żebyś tylko nie przegapiła...

SPOTKANIE PO LATACH

Muz. Jacek Malinowski
Sł. Krzysztof Drzewiecki

Minęło już tyle lat –
a zdaje się, jakby to było wczoraj;
mam przed oczami ten wieczór
z purpurowym zachodem słońca;
lubię powracać do tego widoku,
bo on przybliża mi ciebie,
a ty – to przecież radość, miłość, szczęście...
Dlaczego wówczas odeszłaś,
dlaczego nie pozwoliłaś mi iść za sobą,
było mi z tobą tak dobrze...
Czemu dziś babiego lata cienka nić
oplata srebrem mą twarz,
nim znowu porwie ją wiatr...
Czemu dziś powrotu pragnę tamtych dni
zanim nas rozłączy czas...
Gubię się w każdej nowej chwili –
wolę zamiast kroku w przyszłość – krok wstecz;
nadlatują wspomnienia,
jak ogromne różowe ptaki.
Znowu słyszę i widzę to wszystko,
co było mi najdroższym w życiu –
nie uciekam od wspomnień;
niech trwają jak najdłużej,
jeszcze, jeszcze niech trwają...
Po co mi sznur nieodmiennie szarych dni,
które na pamięć już znam,
wśród których człowiek jest sam.
Po co mi nadzieja na dnie serca drży –
w moim śnie spotkamy się...

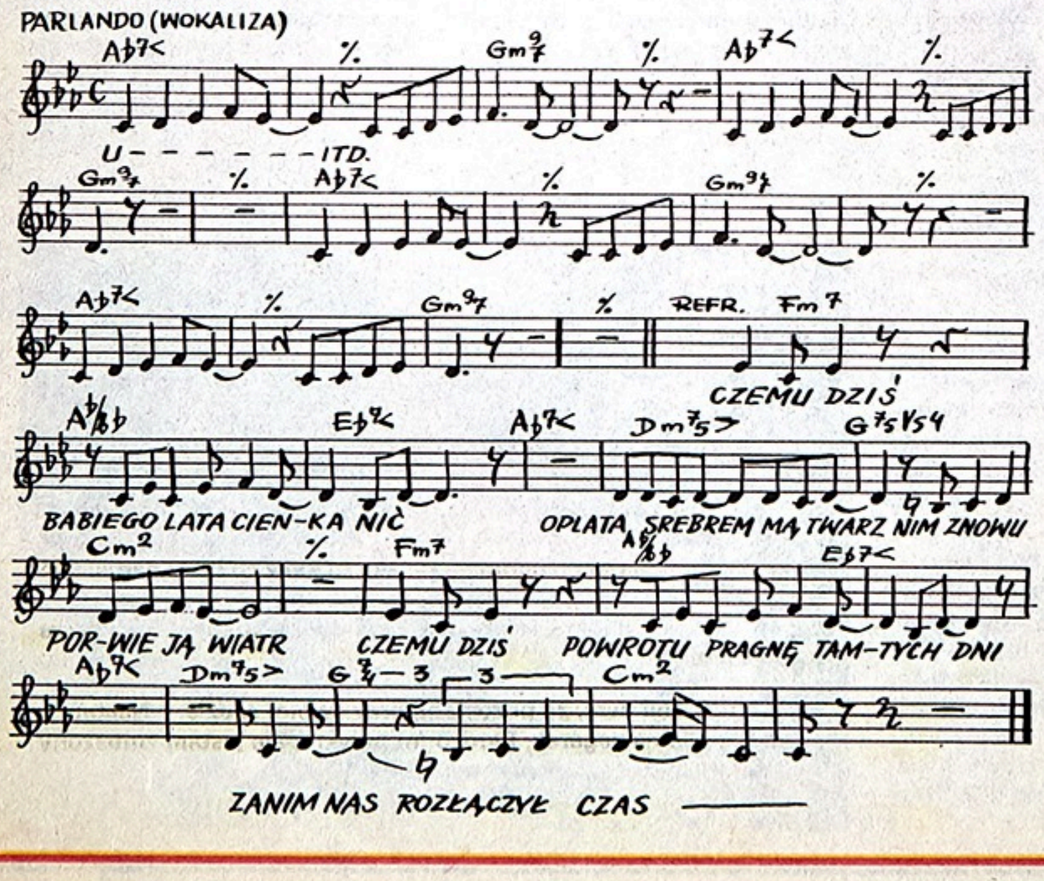

...otrzymał nagrodę specjalną Przewodniczącego Komitetu d/s Radia i Telewizji, podbił serca sopockiej publiczności piosenką „Romantica".

– Proszę powiedzieć coś o sobie...

– Pochodzę z licznej rodziny, mam sześciu braci i dwie siostry. Śpiewam od dzieciństwa. Nie ukrywam, że śpiewaniem chciałem podreperować skromny budżet rodzinny. Zadebiutowałem na Wyspach Kanaryjskich, a pierwsze sukcesy zacząłem odnosić w Hiszpanii, gdzie mieszkam od kilku lat.

– Brał Pan już udział w różnych festiwalach, zdobywał nagrody...

– Moim zdaniem zdobycie nagrody na jakimś festiwalu to ważny moment w życiu każdego wykonawcy. Można wtedy liczyć na ciekawe propozycje występów, nagrań itd. W roku 1972 zdobyłem pierwszą nagrodę na festiwalu w Las Palmas, wygrałem także „Alcobendas 76", wyznaczono mnie jako „rezerwowego" na Festiwal Eurowizji, ale do Wembley ostatecznie nie nie pojechałem. Za to jestem w Sopocie...

– Podobno nagrał Pan jednego longplaya i pięć singli...

– Na longplayu „Greckie wino", cieszącym się dużą popularnością, znalazły się piosenki z moich singli, m. in. dwie moje kompozycje, jedna poświęcona zmarłemu przed dwoma laty ojcu, druga miłości. W październiku ukaże się moja druga płyta długogrająca.

– Jakie piosenki śpiewa Pan najchętniej?

– Najbardziej odpowiadają mi piosenki typu „Romantica", czy „Takie jest życie". Właściwie śpiewam to, co podoba się publiczności, której nie chciałbym zawieść. Stawiam na repertuar lekki, rozrywkowy. Bardzo podobał mi się polski zespół „Czerwone Gitary". Rozmawiałem z jego członkami, prosiłem o płyty i nuty. Chciałbym przegrać piosenki Seweryna Krajewskiego. Kto wie, może włączę je do swojego repertuaru?

Elvis

Umarł. Na wystawach sklepów natychmiast pojawiły się jego płyty, których ceny poszły oczywiście w górę, w prasie ukazał się życiorys, zdjęcia – te sprzed 15–20 lat, na których Elvis jest jeszcze smukły, młodzieńczy, i ostatnie – z Presleyem zmienionym nie do poznania, chorobliwie otyłym, zmęczonym. Niebawem pokazano zdjęcia z pogrzebu: tłumy wielbicieli, najbliższa rodzina, cmentarz komunalny miasta jego młodości...

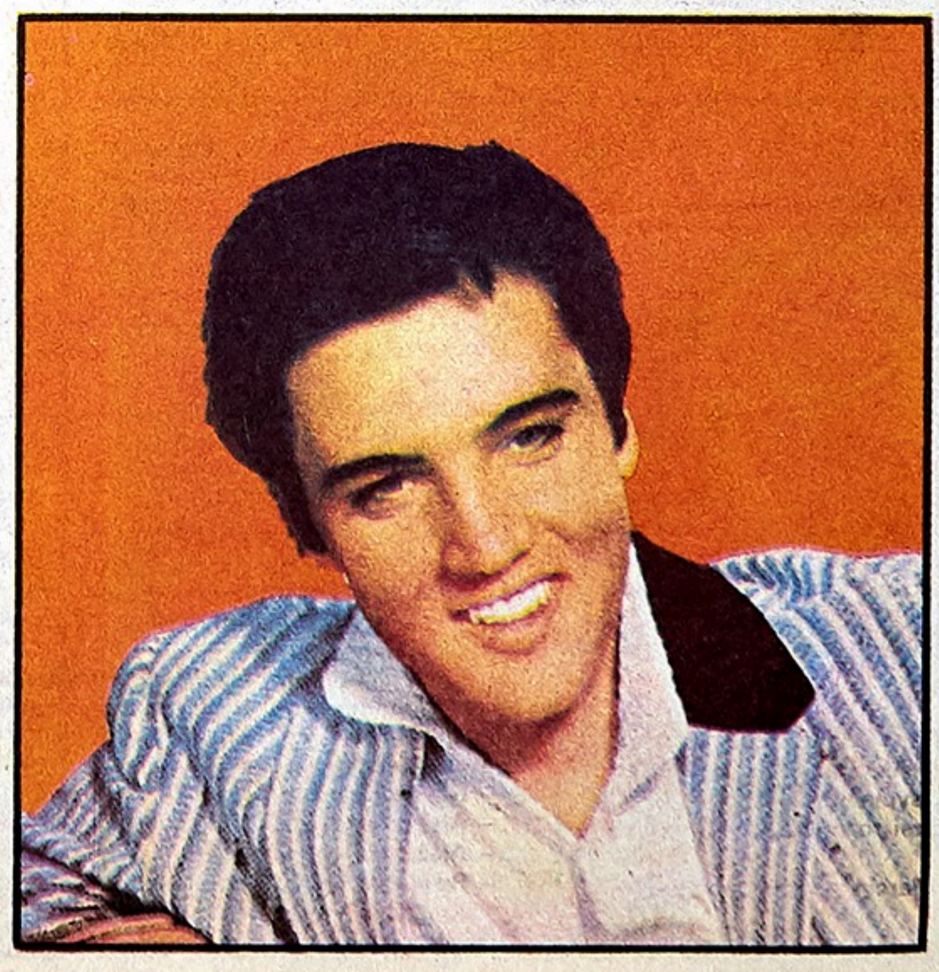

Elvis Aaron Presley urodził się 8 stycznia 1935 roku w Tupelo. Szkołę średnią ukończył w Memphis, gdzie pracował najpierw jako bileter w teatrze, później jako kierowca ciężarówki. Śpiewał, tak dla przyjemności, aby zaimponować rówieśnikom. Kiedyś wpadł na pomysł nagrania swojego głosu. Zapłacił cztery dolary i firma Sun Records Company w Memphis zarejestrowała jego piosenkę *My Happiness*. Miał wtedy osiemnaście lat. Niebawem w tej samej wytwórni nagrał jeszcze jeden utwór – *That's All Right, Mama*, który trafił do rąk płk Toma Parkera. Ten obrotny menager postanowił zająć się młodym, zdolnym wykonawcą. Na jesieni roku pięćdziesiątego czwartego pokazał go disc-jockeyom muzyki country i zawarł umowę z przedstawicielem RCA Victor. *Heartbreak Hotel, I Was the One, I Want You, I Need You, I Love You, Don't Be Cruel* stają się przebojami, podobnie jak następne piosenki. Presley zaczyna występować w telewizji, debiutuje w filmie, śpiewa. Staje się coraz bardziej popularny, zwycięża w różnego rodzaju ankietach. *Hound Dog, Love Me Tender, Loving You, It's Now or Never, Return to Sender...* Mówi się, że jest chory, że to coś poważnego. Operacja jelit, długi pobyt w szpitalu, leczenie cortisonem – temu lekowi zawdzięcza czterdzieści funtów nadwagi, depresja. Umiera 16 sierpnia 1977 roku w Memphis. Przyczyna zgonu – zawał serca. Złote płyty, filmy...

ŚWIAT, KTÓREGO NIE MA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Natomiast nie sądzę, żeby istniała obawa, że rozwój techniki postępujący za rozwojem inteligencji istot rozumnych musi spowodować katastrofę cywilizacji, bo wierzę w działające mechanizmy samoregulacji, które mogą temu zapobiec. Oto – absurdalny może – przykład, który będzie to ilustrował: jeśli np. wskutek działalności istot rozumnych następuje zanieczyszczenie powietrza i zmniejszenie ilości tlenu w atmosferze, a jak wiadomo, tlen jest niezbędny do funkcjonowania mózgu, to może... przygłupieją one troszeczkę i nie będą się tak szybko rozwijać. W ten sposób, na drodze samoregulacji, natura może chronić życie istot rozumnych i istnienie cywilizacji.

– A kontakty z innymi cywilizacjami?

– Pierwsze pytanie jakie należy sobie zadać, to: czy obce cywilizacje w ogóle istnieją? Wprawdzie ostatnio wielu autorów zupełnie poważnie podchodzi do tego problemu określając nawet ilość planet zamieszkanych na megaparsek sześcienny przestrzeni, ale te wszystkie oszacowania oparte są zazwyczaj na bardzo dowolnych założeniach i nie natknąłem się jeszcze na taki wywód, w którym nie byłoby jednego czy dwóch założeń intuicyjnych, bądź też wziętych z sufitu. Wobec tego trudno jest tutaj cokolwiek powiedzieć, określić jakąś liczbę tych cywilizacji i gęstość ich rozmieszczenia w przestrzeni. Oczywiście, prawdopodobieństwo kontaktu zależy od ilości cywilizacji, czasu ich trwania, od stopnia ich zaawansowania. Niewątpliwie kontakt między dwiema cywilizacjami jest w pewnym stopniu prawdopodobny, np. jak to, że ktoś tam trafi w totolotka w najbliższą niedzielę. Natomiast zetknięcie naszej konkretnie cywilizacji z jakąś cywilizacją jest już dużo, dużo mniej prawdopodobne, ale... nie jest niemożliwe. Osobiście wydaje mi się, że trudno tego oczekiwać, trudno na przykład liczyć na to, że jakieś istoty rozumne skontaktują się z nami w celu udzielenia nam instruktażu; powinniśmy raczej liczyć na własną głowę. Także nie jest ekonomicznie uzasadnione np. zbrojenie się przeciwko najazdowi wrogiej nam obcej cywilizacji – również ze względu na nikłe tego prawdopodobieństwo. Inne pytanie brzmi: czy taki kontakt – gdyby przyjąć, że nastąpi – będzie pożyteczny? Moim zdaniem szanse pożytecznego lub szkodliwego dla nas zetknięcia się są mniej więcej równoważne i jak to się mówi „na dwoje babka wróżyła". Byłby to przypadek odosobniony, wobec tego wszelkie prawa statystyki tutaj zawodzą. Na ten temat można długo i ciekawie filozofować, lecz niczego przewidzieć nie sposób.

Rozmawiał:

SŁAWOMIR WALDEMAR MALINOWSKI

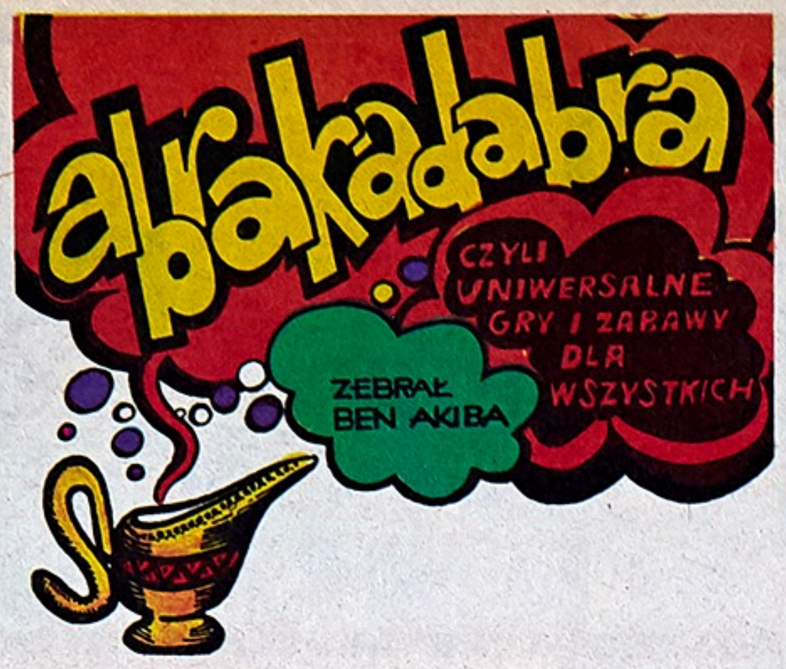

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. W naszym uniwersalnym kąciku gier i zabaw matematyczno-logicznych staramy się zaspokoić najwybredniejsze gusty.

Dziś także mamy zadania od zupełnej łatwizny aż po skomplikowane łamanie głowy.

Dlaczego nie zamieszczam zadań szyfrowych? – pytają mnie niektórzy miłośnicy Abrakadabry. Takie zadania były już kiedyś w naszym kąciku. Zawierały nawet zupełnie oryginalne przykłady szyfrów. Obiecuję, że wymyślę znów coś z tej dziedziny i zamieszczę na naszych łamach.

Kłaniam się w sposób zaszyfrowany!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

ORKIESTRY DĘTE

TRZY zespoły orkiestrowe stanęły do konkursu. We wszystkich trzech zespołach jest razem 36 muzyków, przy czym w drugim zespole jest o 4 więcej, a w trzecim o 4 mniej niż w pierwszym zespole. Ilu muzyków jest w każdym zespole?

ZAPAŁKOWY FIGIEL

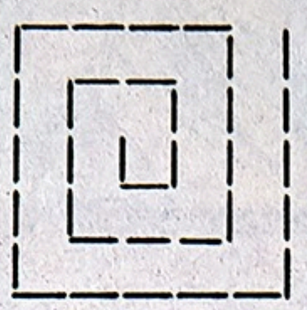

Z trzydziestu pięciu zapałek ułożyłem figurę pokazaną na rysunku. Trzeba zmienić położenie czterech i tylko czterech zapałek w taki sposób, by powstała figura składająca się z trzech kwadratów. Proste i nieskomplikowane. Nie wolno jednak ani łamać zapałek, ani ich rozszczepiać, ani kłaść jednej na drugą!

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

RĄB ROMBY i ŁADNY KWIATEK OŚMIOPŁATEK: rozwiązania na rysunkach. Z LOGIKĄ NA BAKIER: prawidłowy ciąg, to C-B-A-D.

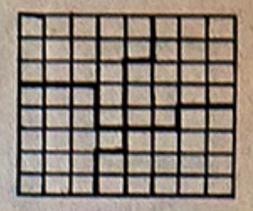

SOBOTNI LABIRYNT

Ta rodzinka chce swoim maluchem jak najszybciej i jak najlepiej dojechać nad jezioro, by spędzić tam wolną sobotę i niedzielę. Ale sprawa nie jest łatwa, bo kręta droga prowadzi także do innego wielkiego miasta albo na zatłoczoną autostradę, a tam rodzinka wcale nie chce się znaleźć. Pomóż sobotniemu kierowcy dostać się bez przeszkód w potrzebne miejsce. Możesz pomylić się tylko raz.

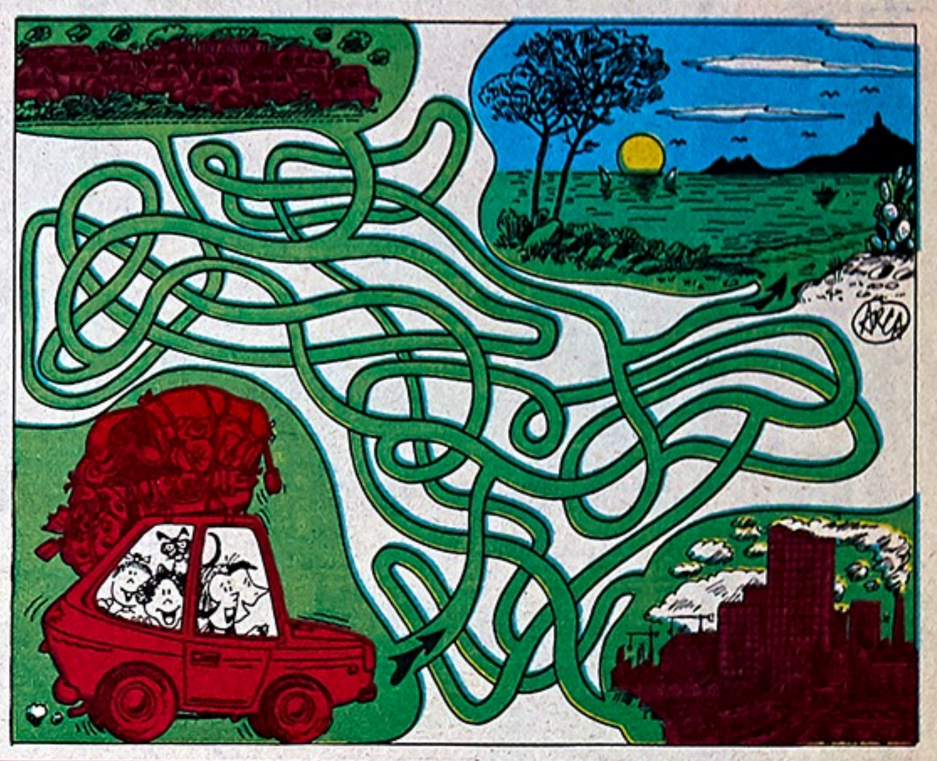

Z WAKACYJNYCH WSPOMNIEŃ

W jednej z młodszych klas uczniowie rysowali swoje wspomnienia z wakacji. Mały Kazio narysował taką historyjkę obrazkową. Ale powiedział, że obrazki nie są ułożone w prawidłowej kolejności i trzeba je ułożyć w logiczny ciąg. Czy dokonasz tej sztuki w ciągu 3 minut?

ZADANIE PREMIOWANE NR 153

KOMBINATKA ARYTMETYCZNA

PJTI - NOE = WOA
: + +
PN × OS = ISW
AO + NTN = EPS

Pamiętając, że jednej literze odpowiada zawsze ta sama cyfra, zastąp litery cyframi tak, aby nad diagramem krzyżówki powstały prawidłowe działania arytmetyczne. Następnie w podanych zestawach cyfr podstaw odpowiadające im litery i powstałe w ten sposób wyrazy wpisz do diagramu tak, aby powstała krzyżówka. Litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, napisane od 1 do 16, utworzą ostateczne rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 153".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu bonów książkowych.

WYRAZY 3-LITER.: 6–7–6, 7–2–8, 2–9–6, 9–8–7, 3–4–0.

WYRAZY 4-LITER.: 0–6–3–6, 7–6–0–6, 7–2–5–6, 9–6–3–6.

WYRAZY 5-LITER.: 4–3–2–7–6, 2–9–4–7–6, 1–2–1–4–9, 1–2–5–6–9, 9–4–5–3–6, 9–2–9–7–6, 5–8–7–4–9, 3–4–6–5–6,

WYRAZY 6-LITER.: 6–7–6–7–6–9, 6–3–8–9–5–6, 0–8–9–4–2–7, 1–6–3–6–7–6, 1–6–3–4–6–7, 1–2–3–4–6–5, 9–2–7–6–5–6, 3–4–6–7–4–8.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 149
ze 103 numeru „Świata Młodych" z dnia 27.08.1977 r.

Prawidłowe rozwiązanie – **Koniec lata blisko.**

Bony książkowe wylosowali:
Elżbieta Grosicka
Piotr Kopka –
Piotr Leśniak –
Stanisław Pędziwiatr –
Danuta Rubaszko –
Teresa Siepka –
Aleksandra Sośnicka –
Longin Szulgit –
Rafał Tymrakiewicz –
Edward Wieliczuk –

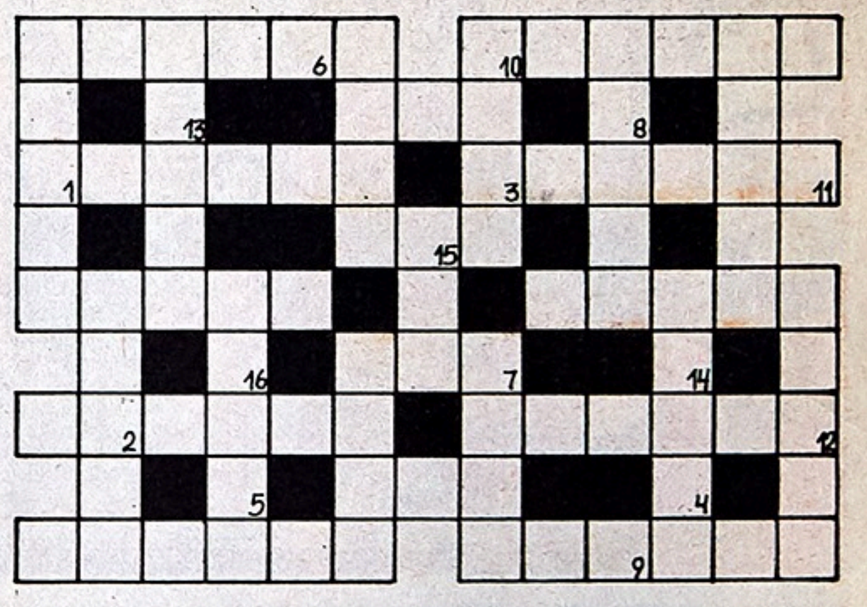

oryginalnego tekstu telegramu. Wcale nie będę zdziwiona, jeżeli się okaże, iż znowu zaszła jakaś bolesna pomyłka.

– Moja Teniu, przykro mnie dotyka twój brak zaufania. To był telegram od Skałomiejczyńskich z Argentyny.

– Skąd ta pewność?

– Serce mi mówi. Ty nigdy nie wierzyłaś w głos serca i dlatego nie potrafiłaś ułożyć sobie życia, nad czym niezmiernie boleję.

Ponieważ obrażona i dotknięta babcia mogła przejść do przydługiej opowieści o kolejnych nieudanych związkach uczuciowych ciotki Hortensji, swojej młodszej córki, potencjalna bohaterka tych narracji uważała za stosowne przezornie zamilknąć, tak było najbezpieczniej.

– Chętnie bym się dowiedział, dlaczego generał Peron uważał za stosowne wysuwać swoje kolejne żony na kluczowe stanowiska w państwie. Ceniony przez wszystkich kuzyn ojca, radca prawny, pozwolił sobie na coś w rodzaju dygresji... – I jeszcze chciałbym wiedzieć, czy to prawda, że woził z sobą mumię Evity, którą trzymał w swojej sypialni. Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

– Jeżeli ją kochał...

– Pani Janko, on się ożenił po raz drugi niedługo po śmierci Evity, więc uczucie chyba nie wchodzi w grę.

– Rzeczywiście trzymał mumię w sypialni?

– Marcin, nie wtrącaj się, jak starsi rozmawiają! Pewno nie odrobiłeś lekcji.

Chociaż mama odgadła prawdę, Marcin z ogniem zaprzeczył. Odrobił, o co chodzi!

– Więc wątpliwości zostały definitywnie rozstrzygnięte. – Wyglądało na to, że ceniony przez wszystkich kuzyn ojca, radca prawny, pan Władysław, bardzo się spieszy, gdyż rzucił kilka dyskretnych, aczkolwiek wymownych wejrzeń na zegarek. – Cieszę się razem z państwem nawiązaniem zerwanych związków rodzinnych. Naprawdę bardzo się cieszę.

– Moja Teniu, chcielibyśmy usłyszeć przy świadku, czy odstępujesz na czas pobytu Skałomiejczyńskiej w Polsce swoją kawalerkę?

Zdecydowanym ruchem Hortensja umieściła okulary na nosie.

– Nie!

– Coś ty powiedziała?

– Że nie odstąpię.

– Tego się po tobie nie spodziewałam!

– Nie mam zamiaru przez miesiąc tułać się po ludziach – warknęła ciotka Hortensja złowrogo. – Nie mam żadnych zobowiązań wobec Skałomiejczyńskich z Argentyny.

– To krewni.

– Krewni, którym przez przeszło trzydzieści lat nie przyszło do głowy zainteresować się, czy istnieję, czy nie, to dla mnie nie żadni krewni.

– Przecież przyjeżdżają.

– Nie do mnie.

– Ależ, Teniu...

– Ależ, mamusiu...

– Przyznasz sama, Hortensjo, że...

– Nie mam zamiaru niczego przyznawać.

– Droga pani Hortensjo. – Pan Władysław, radca prawny, przyzwyczajony snadź do sytuacji konfliktowych, wkroczył w gwałtowną wymianę zdań z łagodną mediacją. – W tej chwili przez panią przemawia rozdrażnienie, lecz nie istnieją, powtarzam nie istnieją obiektywne powody, żeby odmawiała pani uzasadnionej prośbie swoich najbliższych. Gość zza oceanu ma swoje prawa, których nie sposób kwestionować.

– Sądzi pan, panie Władysławie? Pan także posiada samodzielne mieszkanie. – Po znaczącym zawieszeniu głosu nastąpiło westchnienie, bowiem pan Władysław uznał za stosowne nie zrozumieć aluzji. – A więc?

O ile dobrze rozumiem, wzywa mnie pani, abym oddał do dyspozycji posiadany przeze mnie lokal?

– Dobrze pan mnie zrozumiał.

– Obawiam się, że jest to nie tylko niemożliwe, ale pozwolę sobie nadmienić, że w najwyższym stopniu niestosowne. Jestem kawalerem, a pani Skałomiejczyńska to bądź co bądź dama, być może młodą, która źle by się czuła w mojej pustelni.

– Ma pan jakieś staromodne zahamowania. Będzie się czuła doskonale.

– Pozwoli pani, że pozostanę przy swoim sądzie. – Następne spojrzenie na zegarek. Bardzo mi przykro, ale jestem zmuszony państwa pożegnać. Czas na mnie.

Cdn.

10

H. CHMIELEWSKI
M. TEODORCZYK

ROZ ZI BITEK

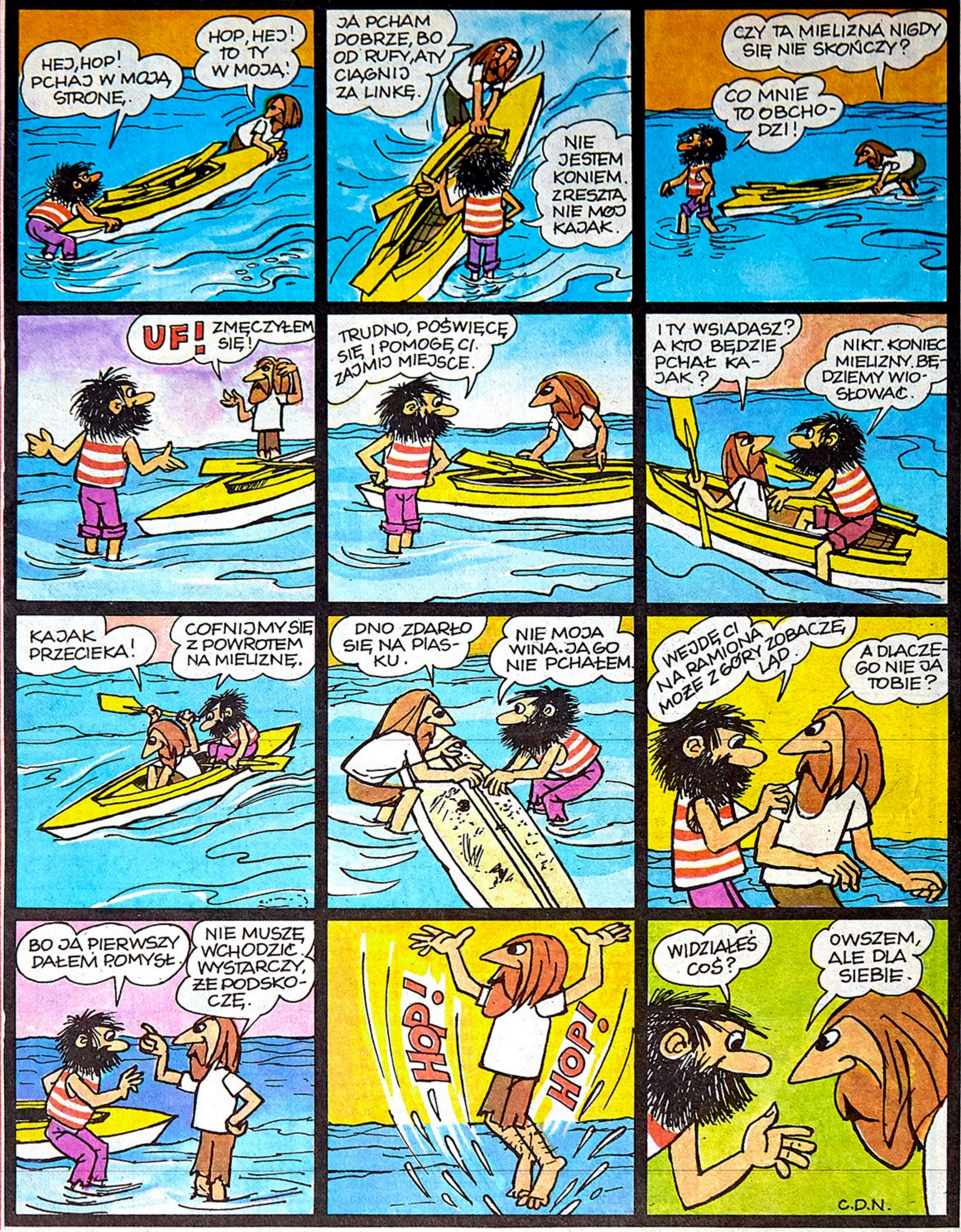

ŚWIAT MŁODYCH
Tygodnik Gazeta Nastolatków

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Szarlota Pawel

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 5628/G F-93

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa.

NIE ZAPOMNIJ! OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W sobotni wieczór odbywa się rodzinna narada, konferencja na najwyższym szczeblu, okrągły stół rodziny Nowaków. Naradzie prezydiuje babcia przystrojona na tę okazję w pamiętający minioną świetność koronkowy żabot i onyksową broszkę. Żabot jest przyżółkły, broszka ma w sobie coś niezmiernie ponurego.

– Chciałabym jednak zobaczyć telegram. – Już trzeci raz ciotka Hortensja domaga się oględzin blankietu. – Jakoś mi się to wszystko nie podoba.

– Moja Teniu, cztery dorosłe osoby w pełni władz umysłowych oglądały tekst i nie może być mowy o żadnym nieporozumieniu.

Jeżeli mamusia do tych dorosłych osób w pełni władz umysłowych była łaskawa doliczyć Marcina, to ja bardzo dziękuję za taki autorytet. Nie uznaję ekspertyz dokonanych przez niepełnoletnich siostrzeńców.

– Moim zdaniem możemy przejść nad tą kwestią do porządku dziennego. – Jedyny uznawany, a nawet szanowany przez babcię i mamę kuzyn ojca, z zawodu radca prawny, przerwał narastający spór. – Wiarygodność depeszy pozostaje poza dyskusją, lecz niepokoi mnie inny fakt. Zdaje się, że upłynęło kilka dni, nim państwo ustalili tożsamość nadawcy depeszy? Czyżby jej treść była wyrażona tak niejasno lub tak zniekształcona przez nieodpowiedzialnych pracowników urzędów telekomunikacyjnych, że pozostawiała znaczny margines wątpliwości?

– Można to tak określić. – Skinieniem głowy mama przytaknęła przedmówcy. – Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że opuszczono jakąś istotną część telegramu, opuszczono lub przeinaczono.

Uparta ciotka skorzystała z okazji.

– Tym bardziej należałoby teraz, spokojnie i z rozwagą przeanalizować ten tekst.

– Moja Teniu, depesza gdzieś zaginęła, czemu trudno się dziwić, wziąwszy pod uwagę to wszystko, co ostatnio zaszło w tym domu.

– O ile mi wiadomo, Kazimierz był przez kilka dni przekonany, że telegram zapowiada przyjazd jego siostrzenicy, Krysi Janiakówny. Poinformował mnie o tym telefonicznie prosząc, żebym

21 Ewa Nowacka BURZA nad ZLEWOZMYWAKIEM

obwiózł Krysię po Trasie Łazienkowskiej i Wisłostradzie jako posiadacz samochodu.

– Bardzo dziwne, bo nam wmawiał, że depesza nie ma i nie może mieć nic wspólnego z żadną jego siostrzenicą. – Tu mama rzuciła piorunujące spojrzenie na ojca. – Nie lubię dwulicowości.

– Ależ Jasiu, ja naprawdę ani przez sekundę nie miałem pewności, czy to Krysia...

– I szarpany wątpliwościami prosiłeś pana Władysława o przejażdżkę samochodem dla jakiejś nieznajomej osoby? Interesujące!

– Ostatecznie ta twoja kuzynka, Majerankiewiczówna, też mogłaby się przejechać Trasą Łazienkowską, więc działałem w interesie nas wszystkich.

– Zaraz, zaraz... Jaka Majerankiewiczówna? – Ciotka Hortensja zdjęła okulary i spojrzała surowo na ojca. – Skąd ci się wzięła Majerankiewiczówna i na dodatek Krystyna?

– Z tych Majerankiewiczów olsztyńskich, córka weterynarza. – Na wszelki wypadek babcia rozstawiła palce do wyliczania koligacji i koneksji. – Jej siostra mieszka w Poznaniu...

– Nie siostra, tylko ciotka, z którą, jak mamusia wie, utrzymuję kontakt. – Przez moment ciotka Hortensja zastanawiała się co zrobić z okularami, wreszcie położyła je przed sobą. – I dlatego mogę z całą pewnością stwierdzić, że w rodzinie Majerankiewiczów nie ma żadnej Krystyny. Córki nazywają się Joanna i Elżbieta. Chociażby z tego powodu uważam za niezbędne obejrzenie

Dokończenie na str. 7